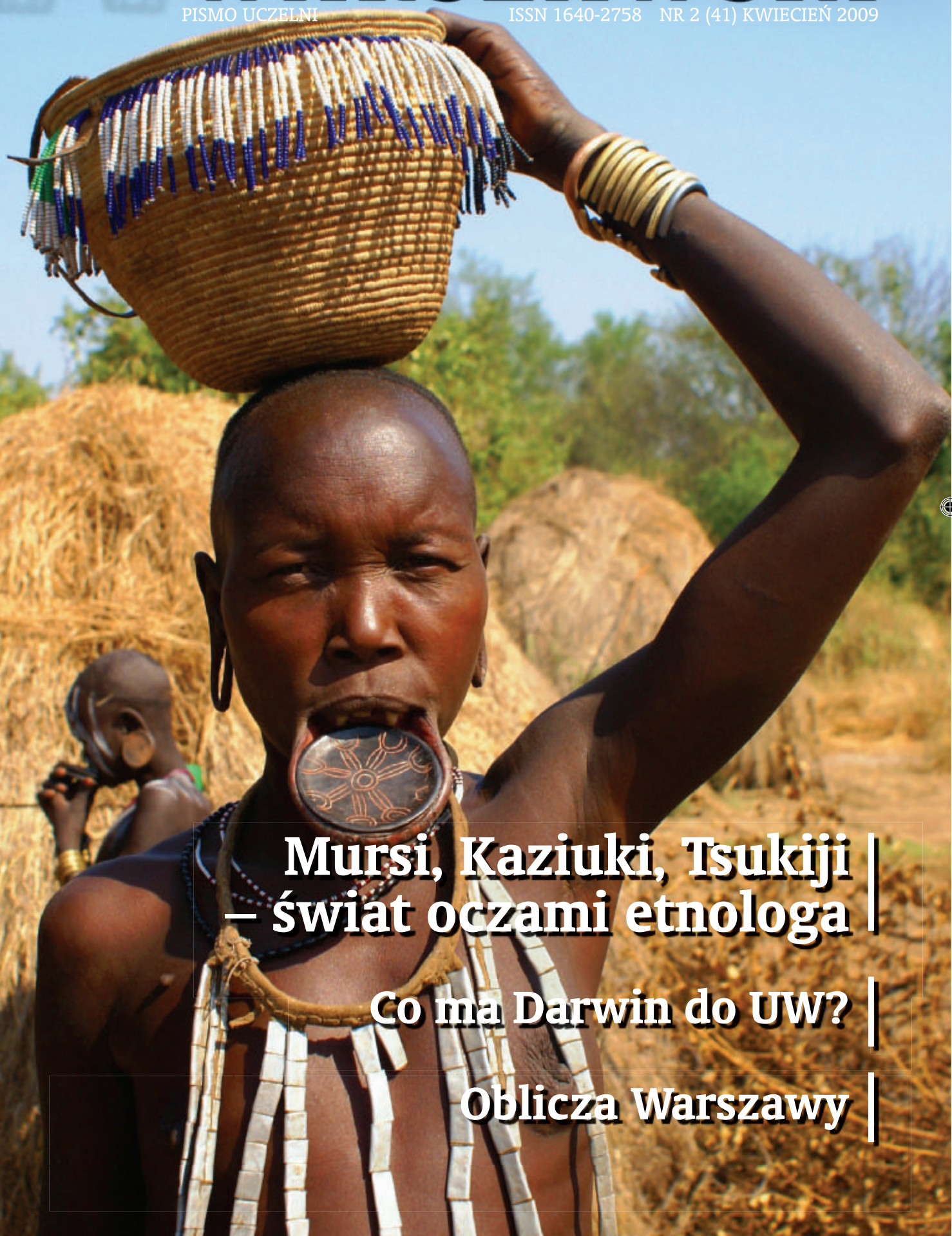


UNIWERSYTET WARSZAWSKI

PISMO UCZELNI

ISSN 1640-2758 NR 2 (41) KWIECIEŃ 2009



**Mursi, Kaziuki, Tsukiji |
– świat oczami etnologa |**

Co ma Darwin do UW? |

Oblicza Warszawy |



Ogród Botaniczny UW zaprasza po zimowej przerwie

Od 12 kwietnia Ogród Botaniczny Uniwersytetu Warszawskiego (Aleje Ujazdowskie 4) jest znów otwarty dla zwiedzających. Już wkrótce rozpocznie się tegoroczny cykl Spotkań z Przyrodą, organizowanych w ogrodzie: 16 maja otwarta zostanie Wystawa Roślin Mięsożernych, zaś w połowie czerwca czeka nas Wystawa Kaktusów.

Dla pracowników oraz studentów UW wstęp do ogrodu jest wolny.

Więcej na stronie: www.ogrod.uw.edu.pl.

WYDARZENIA

- Kalejdoskop 2
- Nominacje profesorskie 9

STUDIA

- Edukacja otwarta *Katarzyna Łukaszewska* 10

ROK KAROLA DARWINA

- Co ma Darwin do Uniwersytetu Warszawskiego? *Jerzy Dzik* 11

BADANIA

- Cyfrowa mapa granicy Moho *Anna Korzekwa* 13
- Oblicza miasta *Katarzyna Łukaszewska* 14
- Afrykanie w Polsce. Widoczni czy niewidoczni?
Elżbieta Budakowska 16
- Ryby, rynki i globalne przepływy *Jerzy S. Wasilewski* 17
- Mursi i ich krążki wargowe *Maciej Ząbek* 20
- Od Kaziuków do Werbowej Niedzieli *Lech Mróz* 22
- Narracje historyczne w postkolonialnej Syberii *Łukasz Smyrski* 24
- „Ludowe” wyobrażenia o władzy, państwie i demokracji
Anna Malewska-Szałygin 26
- Równaniem w tornado *Justyna Jasiewicz-Hall* 28

KULTURA

- Współczesna kultura a długowieczność produktów
Anna Szalast 29

STUDENCKI GŁOS

- Wykopaliska w głębinach Morza Gościnnego *Aleksandra Górka* 31
- Pankisi – dlaczego tam? *Magdalena Wnuk* 32

VARIA

- Pisanki sercu miłe – z prof. Ireną Stasiewicz-Jasiukową rozmawia
Justyna Jasiewicz-Hall 34
- Przegląd prasy 35

DZIEJE UW

- Studenckie Koło Naukowe Historyków *Paweł Tysza* 35
- SKNH dawniej o parę pokoleń *Marcin Kula* 37
- Poczci rektorów *Robert Gawkowski* 38

RÉSUMÉ 39

ODESZLI 40



2



11



20



22



29



34

Kalejdoskop

Nauka i szkolnictwo wyższe

Strategia rozwoju szkolnictwa wyższego

■ Pod koniec stycznia Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego ogłosiło przetarg na opracowanie „Strategii rozwoju szkolnictwa wyższego do roku 2020”. Określając jednak warunki przetargu (punkt II.2.3 *Zdolność techniczna* i IV.1.2 *Ograniczenie liczby wykonawców*), praktycznie uniemożliwiło wzięcie w nim udziału szkołom wyższym i ich konsorcjom – instytucjom, które od miesięcy pracowały nad przygotowaniem dokumentu.

Konferencje Rektorów Akademickich Szkół Polskich i Zawodowych Szkół Polskich oraz Fundacja Rektorów Polskich wysłały więc do ministerstwa wspólne stanowisko w tej sprawie, wraz z sugestią wprowadzenia zmian w warunkach przetargowych. W odpowiedzi, którą otrzymała po miesiącu prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow, rektor UW i przewodnicząca KRASP czytamy: „wszelkie protesty dotyczące w/w zamówienia mogą być zgłoszone tylko w ramach toczącej się procedury zamówienia publicznego. Ponieważ w/w Stanowisko ma charakter informacyjny (...) nie można go potraktować, jako prawidłowo złożonego protestu.”

W połowie marca do KRASP dotarł kolejny, mniej „automatyczny” list z ministerstwa. Wynika z niego jednak, że resort nie planuje w tej sprawie żadnych zmian, a uклон wobec środowiska naukowego zredukował do zaproszenia przedstawiciela naukowców do udziału w dialogu z oferentami, wyłonionymi w drodze przetargu.

Uniwersytet na 5+

Od maja do września 2008 r. studenci UW mieli możliwość wzięcia udziału w ogólnouniwersyteckim badaniu ankietowym na temat jakości kształcenia na uczelni. Pod koniec stycznia tego roku wyniki badania zostały zaprezentowane senatorom UW, a później także dziennikarzom.

W ankiecie przygotowanej przez Pracownię Jakości Kształcenia znalazły się pytania dotyczące infrastruktury uniwersytetu, funkcjonowania systemu USOS oraz warunków zapisów na zajęcia ogólnouniwersyteckie. Studenci oceniali także m.in. programy studiów oraz kwestię przestrzegania praw studenckich.

Autorów badania zaskoczyło zainteresowanie, z jakim ankietą została przyjęta przez studentów. – Zamierzaliśmy ogłosić sukces, jeśli ankietę wypełni 10 proc. studentów – mówił na konferencji prasowej dr Mikołaj Jasiński z PJK, jeden z autorów badania. W badaniu wzięło udział ponad 13 tys. studentów, czyli 30 procent studiujących. – To pokazuje jak, ważna jest dla studentów uczelnia i jak zależy im na jej udoskonaleniu – tłumaczył dziennikarzom.

W skali od 1 do 7 ogólny poziom zadowolenia studentów z jakości kształcenia na uczelni wynosi trochę powyżej 5. Studenci są zadowoleni z zajęć i swoich studiów. Bardzo dobrze oceniają też działalność kół naukowych.

Z bazy dydaktycznej UW najbardziej zadowoleni są studenci Instytutu Archeologii, Instytutu Kultury Polskiej oraz wydziałów Biologii i Zarządzania. Tu średnia ocen wyniosła powyżej sześciu w siedmiostopniowej skali. Najwięcej zastrzeżeń w tym zakresie mają studenci Wydziału Pedagogicznego oraz kierunków lingwistycznych.

Na podstawie wyników badań można śmiało powiedzieć, że studenci wiedzą bardzo niewiele o działalności biur ogólnouczelnianych.

Słabo w ocenie studentów wypada USOS (zdobył średnio 3, 6 punktów). Jest w tym być może pewna dawka ironii, bo gdyby nie USOS, to przeprowadzenie badania ankietowego na taką skalę byłoby bardzo trudne, jeśli nie zgoła niemożliwe. Prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow przyznaje jednak, że system wymaga usprawnień. – Nie ulega wątpliwości, że USOS nie jest przyjazny dla użytkowników – mówi rektor UW. Rejestrację na zajęcia za pośrednictwem systemu oraz USOS jako źródło informacji najgorzej ocenili studenci Wydziału Pedagogicznego oraz Wydziału Neofilologii. Dobrą opinię o systemie mają studenci Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki.

Ankietowani przeważnie nie są też zadowoleni z zajęć prowadzonych przez Internet. E-learning został oceniony znacznie gorzej w porównaniu z zajęciami prowadzonymi tradycyjnymi metodami. Studenci mają także zastrzeżenia dotyczące stron internetowych uczelni.

– Zdajemy sobie sprawę z tego, że w pierwszej tego typu ankiecie mógł wystąpić efekt kumulacji negatywnych ocen – tłumaczy dr Jasiński. W kolejnym badaniu ankietowani będą odnosili się przede wszystkim do konkretnych problemów, które wydarzyły się w ciągu ostatniego roku.

Badania ankietowe są nieodłącznym elementem wewnętrznego systemu zapewniania jakości kształcenia na UW. Będą prowadzone co roku. W ankiecie, którą studenci będą mogli wypełniać już za kilka miesięcy padną na pewno pytania dotyczące bibliotek, a także stołówek i akademików. W przyszłości ankietę będą wypełniać również pracownicy UW oraz absolwenci uczelni i dziennikarze.

Na podstawie raportu z pierwszego badania ankietowego Uczelniany Zespół Zapewniania Jakości Kształcenia sformułował propozycje działań, które powinny zostać podjęte przez wydziały oraz uniwersytecką centralę. Zdaniem zespołu warto wprowadzić na uczelni system motywowania i nagradzania nauczycieli za osiągnięcia dydaktyczne i publikować listy najlepszych dydaktyków. UZZJK widzi też potrzebę opracowania „przewodników” po biurach administracji centralnej. W odniesieniu do USOS-a i polityki informacyjnej, UZZJK zaleca zaś m.in. wprowadzenie obowiązkowych szkoleń z obsługi systemu dla studentów pierwszego roku oraz nowych pracowników uczelni, opracowanie broszury, zawierającej najważniejsze informacje o UW, niezbędne do świadomego studiowania na Uniwersytecie.

Więcej informacji o badaniu, rekomendacjach UZZJK oraz całym systemie zapewnienia jakości kształcenia na UW można znaleźć na stronie: www.bjk.uw.edu.pl.

Fundusz Innowacji Dydaktycznych

W styczniu komisja konkursowa Funduszu Innowacji Dydaktycznych ogłosiła listę projektów, które otrzymają w tym roku dofinansowanie. Wnioski zgłoszone do konkursu oceniane były pod kątem wypełnienia idei FID, czyli podnoszenia jakości kształcenia na uczelni, zwiększania oferty dydaktycznej oraz sprzyjania integracji środowiska akademickiego. Dofinansowanie uzyskało 11 projektów; 8 z nich zgłosiły wydziały zajmujące się naukami ścisłymi i przyrodniczymi – Chemii, Fizyki, Geografii i Studiów Regionalnych oraz Kolegium Międzywydziałowych Studiów Ochrony Środowiska. Wsparcie otrzymają także projekty Wydziału Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji, Wydziału Orientalistycznego oraz Wydziału Prawa i Administracji.

– Celem funduszu jest przede wszystkim wsparcie najlepszych, niewykorzystanych jeszcze pomysłów służących uatrakcyjnieniu dydaktyki prowadzonej na naszej uczelni – tłumaczy dr Anna Rosner, przewodniczącą Senackiej Komisji ds. Studentów, Dok-

torantów i Procesu Kształcenia, która opiniuje wnioski. – Jednocześnie jest to propozycja pomocy skierowana do tych nauczycieli, którzy chcieliby swoje zajęcia ze studentami zmienić, uatrakcyjnić, poprowadzić inaczej. Różne formy zajęć, nowe treści, zajęcia prowadzone w blokach tematycznych przez wykładowców z wielu dziedzin, kształcenie na odległość – to tylko niektóre z ocenianych części składowych projektów – dodaje.

Warunki konkursu spełnił m.in. projekt Wydziału Chemii pt. „Modernizacja Pracowni Technologii Chemicznej – wprowadzenie nowych ćwiczeń biotechnologicznych”. Zakłada on zorganizowanie nowego modułu ćwiczeń z biotechnologii przemysłowej w ramach trzech wydziałowych pracowni. Zajęcia te przeznaczone są nie tylko dla studentów Wydziału Chemii, ale również MiSMaP-u, MSOŚ oraz makrokierunku inżynieria nanostruktur. Laboratoria prowadzone będą w języku polskim i angielskim.

Wśród dofinansowanych projektów znalazła się też „Multimedialna pomoc dydaktyczna do nauki języka perskiego”, zgłoszona do konkursu przez Wydział Orientalistyczny. W projekcie przewidziano wydanie multimedialnego narzędzia będącego uzupełnieniem podręcznika do języka perskiego.

Granty, stypendia i nagrody

Prof. Henryk Samsonowicz doktorem *honoris causa* UO

10 marca na Uniwersytecie Opolskim odbyła się uroczystość nadania tytułu doktora *honoris causa* prof. Henrykowi Samsonowiczowi – jak napisano w dyplomie – „jednemu z najwybitniejszych polskich historyków, badaczowi dziejów Europy i Polski od średniowiecza do czasów nowożytnych (...), autorowi imponującego dorobku twórczego, uczonemu o niezwykłych horyzontach intelektualnych, wychowawcy kilku pokoleń polskich historyków”. Dyplom wręczyła doktorowi honorowemu prof. Krystyna Czaja, rektor Uniwersytetu Opolskiego. Promotorem doktoratu był prof. Sławomir Nicieja, recenzentami zaś prof. Feliks Kiryk z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie oraz prof. Jerzy Strzelczyk z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Więcej o doktoracie honorowym Uniwersytetu Opolskiego dla prof. Samsonowicza w kolejnym numerze naszego pisma.

Wszystkie drogi prowadzą do Indii

16 lutego prof. Danuta Stasik odebrała z rąk prezydent Indii, Pratibhy Devisingh Patil, nagrodę im. dr. Georgea Griesona za wybitne zasługi w dziedzinie propagowania języka hindi. Nagroda ta jest przyznawana od 1994 r. przez Centralny Instytut Hindi (Kendriya Hindi Sansthan), zajmujący się nauczaniem, a także popularyzacją języka nie tylko w Indiach, ale i na całym świecie.

Prof. Stasik specjalizuje się w literaturze i językoznawstwie hindi. Od początku swej kariery naukowej jest związana z UW; jest pracownikiem Wydziału Orientalistycznego, gdzie kieruje pracami Zakładu Azji Południowej. – To, co jest mi najbliższe, to poznawanie literatury hindi i używanie jej jako narzędzia do poznania kultury kraju – opowiada prof. Stasik. – Jednak interesując się językiem hindi, zawsze trzeba pamiętać, że jest to jeden z 22 języków konstytucyjnych obowiązujących w Indiach. A ponieważ specjalistów w tym zakresie nie mamy wielu, dlatego też muszę zajmować się w zasadzie wszystkim: literaturą, językoznawstwem i dydaktyką hindi – dodaje.

Prof. Stasik jest 14. osobą, która otrzymała nagrodę im. dr. G. Griesona. W 1995 r. Centralny Instytut Hindi nagrodził prof. Marię Krzysztofa Byrskiego, mistrza i nauczyciela tegorocznej laureatki. – Jest to dla mnie szczególnie wyróżnienie. Czuję, że mam wspaniałego poprzednika. Prof. Byrski na wieść o tym, że dostałam tę nagrodę powiedział „Pani Danuto, życzę, aby pani też doczekała



Prof. Danuta Stasik odbiera nagrodę z rąk prezydent Indii, Pratibhy Devisingh Patil, fot. zbiory prywatne

się ucznia, który uzyska to wyróżnienie” – mówi laureatka. – Muszę teraz przejąć pałeczkę – dodaje z uśmiechem.

Uniwersyteccy profesorowie są nie tylko jedynymi polskimi naukowcami uhonorowanymi tą nagrodą, ale także jedynymi wyróżnionymi po raz kolejny z tej części Europy. – Dodatkowej radości przysparza fakt, że praca całego warszawskiego ośrodka indologicznego jest zauważana tam, gdzie powinna, czyli w Indiach – dodaje laureatka. W liście gratulacyjnym przesłanym przez prof. Piotra Kłodkowskiego, ambasadora RP w New Delhi do prof. Katarzyny Chałasińskiej-Macukow, rektor UW, czytamy: „Jest to zasłużona forma uznania nie tylko dla prof. Stasik osobiście, ale również dla dokonań całej indologii warszawskiej. (...) Przyznana nagroda jest formą wyróżnienia wybitnych ludzi nauki i kultury za ich wkład w promowanie języka hindi”.

Prof. Stasik za badania prowadzone nad językiem i literaturą hindi oraz dydaktyką w tym zakresie była poprzednio nagradzana m.in. przez Indyjsko-Polskie Stowarzyszenie Kulturalne, VI Światowy Kongres Hindi w Londynie oraz VII Światowy Kongres Hindi w Surinamie.

Projekt prof. Joanny Kufel dofinansowany w programie TEAM

Zespół kierowany przez prof. Joannę Kufel z Instytutu Genetyki i Biotechnologii uzyskał jeden z grantów badawczych w drugiej edycji programu TEAM zorganizowanego przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej. Dofinansowany projekt nosi nazwę „Integration of approaches to study RNA quality control pathways in plants”, a jego podstawowym celem jest kompleksowa analiza procesu kontroli jakości RNA u modelowej rośliny *Arabidopsis thaliana* (rzodkiewnik

pospolity). – W badaniach zamierzamy skupić się przede wszystkim na mechanizmie *Nonsense Mediated Decay (NMD)*, przeciwdziałającym ekspresji niepełnych białek, które mogą być szkodliwe dla komórki – opowiada o projekcie prof. Kufel. Ciekawe jest to, że o ile mechanizmy NMD są obecnie szeroko badane w wielu organizmach eukariotycznych, szczególnie u drożdży *Saccharomyces cerevisiae*, muszki owocowej i u ssaków, o tyle u roślin są stosunkowo mało poznane. – Obiecujące są już same badania wstępne, które wskazują na unikalność systemu roślinnego w porównaniu z wcześniej scharakteryzowanymi – dodaje badaczka. W zespole badawczym prof. Kufel pracuje 11 osób, a przy realizacji programu dofinansowanego przez FNP pracę dostanie kolejne 9.

Program TEAM jest skierowany do zespołów prowadzących badania w jednym z trzech wyróżnionych obszarów: Bio, Info lub Techno. Warunkiem uzyskania dofinansowania z FNP jest przeprowadzenie otwartej rekrutacji do pracy w zespole w kraju i za granicą zarówno wśród studentów, doktorantów jak i młodych doktorów.

Warto przypomnieć, że w pierwszej edycji programu TEAM dofinansowanie otrzymał projekt realizowany przez dr. hab. Wojciecha Grochałę z Wydziału Chemii oraz ICM.

Stypendia FNP

Fundacja na rzecz Nauki Polskiej przyznała również dofinansowanie na przeprowadzenie kwerend przez polskich naukowców w zagranicznych archiwach i instytucjach naukowych. O stypendium ubiegało się blisko 100 naukowców. Stypendia przyznano osiemnastu badaczom, których projekty z zakresu nauk humanistycznych i społecznych uznane zostały za najciekawsze. Dzięki dofinansowaniu wybrani naukowcy spędzą kilka miesięcy m.in. w Stanach Zjednoczonych, Peru czy Indiach, zbierając materiały do swych badań. Wśród dofinansowanych projektów siedem realizowanych jest przez pracowników UW: dr. hab. Stefana Ciarę (IH), dr. Jacka Rzepkę (IH), dr. Lidie Stefanowską (WLSiFW), prof. Danutę Ulicką (ILP), dr. Janusza Wołoszyna (IA) oraz dr. Jakuba Zajączkowskiego (ISM).

Dr hab. Marek Zaleski laureatem nagrody im. Kazimierza Wyki

Laureatem tegorocznej nagrody im. Kazimierza Wyki został dr hab. Marek Zaleski z Katedry Studiów nad Tradycją i Zmianą Społeczną

w XIX i XX w. ISNS UW oraz Instytutu Badań Literackich PAN. Został nagrodzony za książkę „Echa idylli w literaturze polskiej doby nowoczesności i późnej nowoczesności”, która podsumowuje jego dotychczasowy dorobek eseistyczny.

Dr hab. Marek Zaleski jest historykiem i krytykiem literatury, autorem książek „Przygoda drugiej awangardy”, „Mądryemu biada?”, „Formy pamięci”. Dotychczas za swą twórczość został uhonorowany Nagrodą Fundacji im. Kościelskich oraz Nagrodą Literacką Gdyni w dziedzinie eseju. W latach 2005–2007 zasiadał w jury nagrody „Nike”.

Nagroda im. Kazimierza Wyki przyznawana jest za wybitne osiągnięcia w dziedzinie eseistyki oraz krytyki literackiej i artystycznej. Przyznają ją marszałek województwa małopolskiego i prezydent miasta Krakowa. Wśród dotychczasowych laureatów nagrody są m.in. Zbigniew Herbert oraz prof. Maria Janion.

TRAVELERY 2008

Już po raz trzeci redakcje magazynów „National Geographic TRAVELER” i „National Geographic Polska” przyznały „TRAVELERY”. Wśród laureatów tegorocznej edycji konkursu są badacze z Wydziału Biologii UW: prof. Jerzy Dzik i Grzegorz Niedźwiedzki, doktorant z Zakładu Paleobiologii i Ewolucji, którzy wraz z dr. Tomaszem Sulejem z Instytutu Paleobiologii PAN odkryli fragmenty kości dinozaurów. Projekt kierowany przez prof. Dzikę zwyciężył w kategorii „naukowe odkrycie roku”. Nominowane w niej były odkrycia, które pozwoliły lepiej zrozumieć otaczający nas świat albo miały wpływ na ratowanie ludzkiego życia.

W maju 2006 r. w pokładach działającej od lat cegielni (Lisowice – Lipie Śląskie) naukowcy odnaleźli pierwszy w Polsce szkielet dinozaura drapieżnego. Szczątki wielkiego gada tylko dzięki sprawnemu i fachowemu działaniu badaczy uniknęły zniszczenia. Naukowcy odkopali także dicynodonta, najmłodszego z dotąd poznanych wielkich gadów ssakokształtnych.

Drugim nominowanym w kategorii „odkrycie naukowe roku” był prof. Mariusz Ziółkowski, archeolog kierujący pracami Ośrodka Badań Prekolumbijskich, za odkrycie jednej z najważniejszych wyroczni inkaskiego imperium – Maucallacta.

Zachęcamy do zapoznania się z artykułem laureata TRAVELERÓW prof. Jerzego Dzikę na temat wpływu teorii ewolucji na rozwój nauki, który publikujemy w dziale „Rok Karola Darwina” na str. 11–12.

Siedmiu wspaniałych

W czwartej edycji rankingu 50 najlepszych wykładowców przeprowadzonego wspólnie przez miesięcznik studencki „Dlaczego” oraz portal Ocen.pl, pierwsze miejsce zajął dr Tomasz Słomka z Instytutu Nauk Politycznych. W rankingu znalazło się jeszcze sześciu wykładowców z UW: dr Katarzyna Kołodziejczyk (ISM), prof. Franciszek Gołębski (KE), dr Zuzanna Służewska (WPiA), dr Agnieszka Stępkowska (WPiA), dr Remigiusz Kaszubski (WPiA) oraz prof. Włodzisław Gruszczyński (ID). Siedmiu na pięćdziesięciu najlepszych wykładowców ujętych w zestawieniu plasuje UW na czele listy wszystkich uczelni występujących w rankingu.

W głosowaniu wzięło udział ponad 37 tys. studentów i absolwentów. Wykładowcy byli oceniani w sześciu kategoriach: sprawiedliwość, przydatność i jasność zajęć, przyjazność, łatwość zaliczenia i uroda. Za każdą z cech mogli uzyskać ocenę od 1 do 6. Dr Słomka, zwycięzca rankingu, uzyskał średnią ocen w wysokości 5,6 pkt. Studenci, którzy zamieścili swoje opinie w serwisie Ocen.pl zgodnie podkreślali, że ich ulubiony wykładowca nie tylko prowadzi zajęcia w bardzo ciekawy sposób, ale zawsze jest skłonny do rozmowy, wymiany uwag i doskonale rozumie swoich słuchaczy.



Dr hab. M. Zaleski w towarzystwie M. Nawary, marszałka województwa małopolskiego oraz E. Łęcznarowicz, wiceprezydent Krakowa, fot. UMWM



Prof. Jerzy Dzik, dr Tomasz Sulej oraz Grzegorz Niedźwiedzi,
fot. W. Franus

Pozostali wykładowcy UW, którzy znaleźli się w rankingu również uzyskali bardzo wysokie oceny: od 5,3 do 5,5 pkt.

Najlepsze prace magisterskie i doktorskie

W kilku rozstrzygniętych w ostatnim czasie konkursach na najlepsze prace magisterskie i doktorskie nagrodzeni zostali świeżo upieczeni absolwenci i doktorzy Uniwersytetu Warszawskiego.

Małgorzata Adamiec, absolwentka WNE zdobyła II nagrodę ministra gospodarki w konkursie na najlepszą pracę magisterską dotyczącą promocji polskiej gospodarki. Nagrodzona praca „Wpływ wizerunku kraju na wysokość Bezpośrednich Inwestycji Zagranicznych na przykładzie polsko-francuskich stosunków gospodarczych i społecznych” napisana została pod kierunkiem dr. Tomasza Kopczewskiego. Inny student dr. Kopczewskiego, Marcin Pietrzak zdobył II nagrodę w rozstrzygniętym pod koniec ubiegłego roku konkursie o nagrodę prezesa NBP na najlepszą pracę magisterską z zakresu nauk ekonomicznych. Wyróżniona praca nosi tytuł „Badania nad heterogenicznością oczekiwań inflacyjnych. Podejście ekonomii eksperymentalnej”. W tym samym konkursie wyróżnienie otrzymał też Bilge Kagan Ozdemir za pracę „Predicting Vulnerability to Crisis by Markov Switching Modeling: The Case of Turkey”, napisaną pod kierunkiem prof. Ryszarda Kokoszcyńskiego (WNE).

Z kolei w konkursie na najlepsze prace magisterskie i doktorskie w dziedzinie problemów pracy i polityki społecznej pierwsze nagrody w obydwu kategoriach przyznano podopiecznym

prof. Józefiny Hrynkiewicz z ISNS. Wśród prac doktorskich zwyciężyła rozprawa dr Magdaleny Arczewskiej „Społeczne role sędziów rodzinnych”; w kategorii prac magisterskich nagrodzono Monikę Deszczkę za pracę „Teoretyczne założenia pracy socjalnej z rodziną a praktyka”. W konkursie przyznano również wyróżnienia, które otrzymały dr Gabriela Grodkowska (za pracę doktorską „Wpływ handlu zagranicznego na zatrudnienie i płace w Polsce w okresie transformacji”, promotor – prof. Urszula Sztandar-Sztanderska, ISNS) oraz Anna Rusek (za pracę magisterską „Krajowa Sieć Szpitali jako narzędzie regulacji podaży w sektorze usług medycznych”, promotor – dr Katarzyna Kowalska, WNE).

W połowie stycznia absolwentka WPiA zdobyła wyróżnienie w konkursie Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów na najlepszą pracę magisterską poświęconą prawu konkurencji. Katarzynę Bojarojć wyróżniono za pracę „Zasada *ne bis in idem* oraz jej zastosowanie we wspólnotowym prawie konkurencji”, napisaną pod kierunkiem prof. Eugeniusza Piontka.

Grant IBM dla ICM UW

Interdyscyplinarne Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego otrzymało grant od firmy IBM. Środki przyznane w ramach konkursu IBM Faculty Award 2008, zostaną przeznaczone na prowadzenie obliczeń mających usprawnić pracę superkomputera Nautilus. – Grant pozwoli nam na zbudowanie zespołu badawczego, w skład którego wejdą nie tylko naukowcy, ale też studenci z UW i być może innych warszawskich uczelni – mówi Maciej Cytowski z ICM. Zespół badawczy będzie prowadził przede wszystkim prace programistyczne, które usprawnią obliczenia wykorzystywane do prognozowania pogody, diagnostyki obrazowej, astrofizyki, wizualizacji komputerowej, bioinformatyki czy symulacji przepływu płynów.

Ranking magazynu „Dlaczego”

W zestawieniu warszawskich domów studenckich, przygotowanym przez miesięcznik „Dlaczego”, na drugim miejscu znalazł się uniwersytecki akademik nr 6 przy ul. Radomskiej 11. „Szóstka” ustąpiła miejsca liderowi zestawienia, akademikowi Limba należącemu do SGGW, zaledwie dwoma punktami.

Podobnie, jak w poprzednich edycjach rankingu, listę najlepszych akademików stworzono na podstawie badań ankietowych. Redakcja „Dlaczego” była najbardziej zainteresowana tym, kiedy przeprowadzony był ostatni remont akademika, ile wynosi opłata miesięczna za zakwaterowanie w poszczególnych typach pokoiów i jaki jest ich standard. Ważne też były sprawy bezpieczeństwa, otoczenie domu studenckiego (bliskość sklepów, aptek, klubów) oraz „zagęszczenie” mieszkańców. Akademik UW został doceniony przede wszystkim za udogodnienia zapewniane studentom: salę telewizyjną, komputerową i pokoje do cichej nauki. To, co dodatkowo wyróżnia akademik UW to m.in. doskonałe dostosowanie budynku do potrzeb osób niepełnosprawnych, monitoring akademika i okolicy oraz Wi-Fi w całym budynku.

Ale UW może pochwalić się nie tylko „szóstką”. W najbliższych tygodniach skończy się remont akademika nr 4 przy ul. Zamenhofa. Jesienią akademik przyjmie pierwszych mieszkańców. Studenci będą mieli do dyspozycji w sumie 230 miejsc.

Konferencje, rocznice, wydarzenia

Wizyta noblistki Shirin Ebadi

Pod koniec ubiegłego roku na uniwersytecie gościła Shirin Ebadi, laureatka pokojowej nagrody Nobla z 2003 r. Irańska prawniczka wzięła udział w otwarciu konferencji „International Conference of Oriental Studies. 55 years of the Committee of Oriental Studies of

the Polish Academy of Sciences (1952-2007)”, zorganizowanej przez Wydział Orientalistyczny UW i Komitet Nauk Orientalistycznych PAN.

Noblistka bardzo wysoko oceniła osiągnięcia warszawskiej iranistyki w zakresie badań i nauczania języka i kultury perskiej. Wskazała, że jest to jeden z najlepszych ośrodków orientalistycznych, które odwiedziła w czasie swych licznych podróży.

Premier Tadeusz Mazowiecki o obradach Okrągłego Stołu

Tadeusz Mazowiecki, premier pierwszego niekomunistycznego rządu po 1989 r., 20 stycznia wygłosił wykład na UW, którego tematem były zmiany, jakie zaszły w Polsce w 1989 r. Mówił o obradach Okrągłego Stołu, pierwszych częściowo demokratycznych wyborach i powołaniu rządu, na czele którego stanął.

Premier skoncentrował się najpierw na tym, co miało największy wpływ na przemiany w Polsce w latach 80. XX w., polityce Ronald Reagana i Jimmiego Cartera, pierestrojce w ZSRR oraz stanowisku papieża Jana Pawła II. – Postawa papieża była niezwykłym przykładem siły moralnej człowieka w historii. Jego oddziaływanie na ludzi, mobilizowanie ich do walki o swoje prawa, było ogromne – mówił. Wiele uwagi poświęcił także „Solidarności” i jej znaczeniu w przemianach politycznych. – To był ruch, który czynił niemożliwe możliwym. Okrągły Stół nie byłby możliwy, byłby czymś zupełnie innym, gdyby nie było „Solidarności”, gdyby ona nie przetrwała w podziemiu i gdyby przywrócenie „Solidarności” do legalnego działania nie było zasadniczą sprawą, którą trzeba było wywalczyć. Bo wiedzieliśmy, że tylko zgoda na istnienie wielkiego, masowego ruchu społecznego sprawi, że zmiany, uzgodnienia Okrągłego Stołu będą miały silne zaplecze w społeczeństwie – podkreślił.

Premier opowiadał także o tym, jaki był stosunek władz PRL do „Solidarności” oraz jak trudne były początki obrad Okrągłego Stołu. – Ci wszyscy którzy myślą, że droga do Okrągłego Stołu była usłana różami, a sam Okrągły Stół był sielanką, bardzo się mylą – powiedział. Odnosił się też do oskarżeń o rzekome tajne ustalenia z Magdalenki, które padają pod adresem architektów przemian politycznych w Polsce. – Jeżeli mamy być uczciwi, jeżeli 20-lecie ma przełamać tę barierę wzajemnego niezrozumienia, to trzeba spojrzeć prawdziwie, jak było: Okrągły Stół był wielkim krokiem, wielkim otwarciem. Był naturalnie kompromisem, ale kompro-

misem, który stanowił otwarcie do dalszych rozwiązań. I te przyszły szybciej, niż myśleliśmy – powiedział.

– W bieżącym roku obchodzimy 20. rocznicę tamtych przemian. Jest bardzo ważne, aby ten czas był okresem nie tylko refleksji nad całym tym dwudziestolecie, ale i rokiem odbudowy szacunku Polaków do samych siebie i do swojej historii – dodał.

Wykład premiera Mazowieckiego był kolejnym z cyklu „8 Wykładów na Nowe Tysiąclecie”. Wykłady organizowane są na UW już od 9 lat.

Darwin – człowiek, idea, pasja

Jest rzeczą doprawdy zadziwiającą, iż przy tak przeciętnych zdolnościach, jakie posiadam, mogłem wywrzeć poważny w swym zakresie wpływ na poglądy uczonych w niektórych ważnych kwestiach – napisał w autobiografii Karol Darwin. Twórcę teorii ewolucji cechowała nie tylko wielka skromność, ale również ogromna ciekawość świata, cierpliwość do prowadzenia często bardzo żmudnych badań i obserwacji oraz – jak sam o sobie napisał – *znaczna doza pomysłowości, jak również zdrowego rozsądku*. Przybliżenie sylwetki Darwina było zadaniem jakie postawili sobie organizatorzy wystawy „Darwin – człowiek, idea, pasja”, prezentowanej na początku marca w Galerii Muzeum UW w Pałacu Kazimierzowski. Ekspozycja była jednym z elementów obchodów Roku Karola Darwina na UW. – Wystawa ma przywołać postać Darwina jako uczonego, ale także człowieka z krwi i kości – powiedziała w trakcie uroczystego otwarcia wystawy prof. Joanna Pijanowska, dziekan Wydziału Biologii. – Chcemy państwa zaprosić do przechadzki po dziewiętnastowiecznym uniwersyteckim świecie Darwina – dodała.

– Motywem przewodnim wystawy był rękopis autobiografii Darwina – tłumaczy jej kurator dr Andrzej Mikulski z Wydziału Biologii. Na wystawie zaprezentowano kolejne fazy życia wielkiego uczonego – dzieciństwo, okres studiów, lata spędzone w Londynie oraz w wiejskiej posiadłości w Down, gdzie powstały jego najważniejsze dzieła. Wiele uwagi twórcy wystawy poświęcili też okresowi przełomowemu w życiu Darwina, pięcioletniej podróży dookoła świata na okręcie H.M.S. „Beagle”.

Zwiedzający wystawę mogli też poznać sylwetki osób, które miały największy wpływ na wielkiego myśliciela – członków rodziny, przyjaciół, współpracujących z nim naukowców. Przybliżone zostały postaci m.in. Charlesa Lyella, geologa, nauczyciela i mentora Darwina oraz Alexandra von Humboldta, przyrodnika i podróżnika, który dla Darwina był wielkim autorytetem. Autorzy ekspozycji przypomnieli też reakcje świata na śmierć wielkiego uczonego w 1882 r. W nastrój epoki zwiedzających wprowadzały liczne ilustracje przedstawiające ważne dla Darwina miejsca oraz postaci.

Prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow, rektor UW, otwierając wystawę, odniosła się do rosnącej w ostatnim czasie popularności kreacjonizmu, przeciwstawianemu darwinowskiej teorii ewolucji. – Jako przedstawiciele świata naukowego mamy świadomość, że ewolucjonizm jest teorią niepodważalną. Dlatego naszym zadaniem powinno być „niesienie kaganka oświaty” w społeczeństwie aspirującym do miana społeczeństwa opartego na wiedzy – podkreśliła pani rektor.

Wystawę poprzedziły dwa inne wydarzenia Roku Karola Darwina na UW. 18 lutego studenci z Koła Naukowego Biologii Ewolucyjnej oraz Międzywydziałowego Interdyscyplinarnego Koła Studenckiego zorganizowali sesję „2009 – Rok Darwina na Uniwersytecie Warszawskim. Spojrzenia na ewolucję z perspektywy różnych nauk”. W trakcie sesji pracownicy różnych wydziałów uniwersytetu opowiedzieli studentom oraz uczniom warszawskich liceów o związku teorii Darwina z ich dziedziną naukową. Wykłady wygłosili: prof. Krzysztof Spalik z Wydziału



Premier Tadeusz Mazowiecki podczas wykładu, fot. M. Kluczek



Wystawa „Darwin – człowiek, idea, pasja”

Biologii („Biolog patrzy w gwiazdzone niebo, czyli rewolucje światopoglądowe w biologii”), dr Wiesław Więckowski z Instytutu Archeologii („Neandertalczyk – istota wielu debat i interpretacji”) oraz dr Maciej Trojan z Wydziału Psychologii („Meandry ewolucji umysłu”).

Zaś w dzień urodzin Karola Darwina – 12 lutego, rozstrzygnięto konkurs dla uczniów i nauczycieli szkół ponadgimnazjalnych z Mazowsza „Karol Darwin – fascynacja przyrodą”. Uczniowie przygotowywali plakaty nawiązujące do konkursowego hasła. Jury oceniło ponad 150 nadesłanych prac. Pierwsze miejsce zajęła Zuzanna Ostrzeszewicz (XCIX LO im. Z. Herberta), drugie – Karolina Paszula (LXIV LO im. S. Witkiewicza), trzecie Michał Mazgajski (XCVII LO im. Olimpijczyków Polskich) oraz Sara Rewieńska (XLII LO im. M. Konopnickiej). Trzynastu uczniów otrzymało wyróżnienia, trzy z nich zostały przyznane przez Pracownię Dydaktyki Biologii UW, głównego organizatora konkursu. Wystawę plakatów konkursowych można było obejrzeć w siedzibie Wydziału Biologii.

Nauczyciele biorący udział w konkursie mieli za zadanie przygotować scenariusz lekcji pt. „Powstawanie gatunków drogą doboru naturalnego”. Jury przyznało 3 wyróżnienia, otrzymały je: Maria Sielatycka (VII LO im. J. Słowackiego), Anna Mejzner (Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych im. Jana Pawła II w Lipsku) oraz Agnieszka Kranc-Szkurenko (LO im. A. Mickiewicza w Piastowie).

Więcej informacji o obchodach Roku Karola Darwina na UW na stronie: www.biol.uw.edu.pl/darwin.

Przyszli ambasadorzy kultury

2 marca w Sali Senatu Pałacu Kazimierzowskiego odbyło się doroczne spotkanie studentów pierwszego roku Wydziału Orientalistycznego z przedstawicielami placówek dyplomatycznych krajów Azji i Afryki. Prof. Jolanta Sierakowska-Dyndo, dziekan Wydziału Orientalistycznego, witając dyplomatów, podsumowała ostatnie osiągnięcia warszawskiej orientalistyki, wspomniawszy m.in. o uzyskaniu w 2008 r. przez dotychczasowy Instytut Orientalistyczny statusu wydziału, który jest obecnie jedynym wydziałem o profilu orientalistycznym w Polsce. Mówiła też o najbliższych planach, m.in. pomyśle utworzenia obcojęzycznych studiów doktoranckich, głównie dla osób z zagranicy. Zwracając się do studentów pierwszego roku, pani dziekan uprzedziła ich, że studia orientalistyczne są trudne, ale dają dużą satysfakcję. – Po ukończeniu studiów to wy będziecie ambasadorami krajów, których języków się uczycie. Będziecie tłumaczami nie tylko języka, ale także kultury – podkreśliła.

Przedstawiciele ambasad mówili o związkach, jakie łączą ich kraje z Polską oraz o współpracy edukacyjnej i naukowej, w której bierze udział także Uniwersytet Warszawski. Any Muryani, I sekretarz ambasady Indonezji opowiadała na przykład o indonezyjskim programie Darmasiswa, skierowanym do studentów z zagranicy. Uczestnicy programu mogą spędzić dwa semestry na jednym z indonezyjskich uniwersytetów, studiując na kierunku lingwistycznym bądź artystycznym, ucząc się języka bądź tradycyjnego indonezyjskiego rzemiosła, tańca lub muzyki. Pani sekretarz podkreśliła, że w ostatnich latach coraz więcej zgłoszeń do programu napływa od studentów polskich, w tym z Uniwersytetu Warszawskiego.

W spotkaniu brali udział przedstawiciele ambasad kilkunastu państw, oprócz Indonezji także Japonii, Angoli, czy Sri Lanki.

Polonia 2.0 w XXI wieku

„Potrzeby informacyjne Polonii” to tytuł konferencji zorganizowanej w Lille pod koniec ubiegłego roku przez Instytut Informacji Naukowej i Studiów Bibliologicznych oraz Kongres Polonii Francuskiej. Głównymi zagadnieniami konferencji były potrzeby informacyjne współczesnej Polonii w zakresie edukacji, nauki i kultury oraz problem zachowania i kształtowania tożsamości narodowej w dobie globalnych przemian. Podczas obrad badacze poświęcili dużo uwagi zmianom zachodzącym w społeczeństwie informacyjnym. – Kształtowanie się nowego mobilnego społeczeństwa związanego z uczestnictwem w sieci internetowej, gdzie przeniosła się energia społeczna i powstają prądy, które mają przeniesienie na realną rzeczywistość, nie pozostaje bez wpływu na środowisko polonijne jako takie – powiedział podczas wykładu „Polonia 2.0” prof. Mieczysław Muraszkiewicz, jeden z wykładowców IINSB. – Budowanie emigracyjnej społeczności sieciowej z wykorzystaniem narzędzi Web 2.0 i Web 3.0 przez samych zainteresowanych i ze wsparciem polskich organizacji i stowarzyszeń, to nie tylko przyszłość współczesnej polskiej emigracji, ale przede wszystkim szansa, a być może i jedyny sposób na jej przetrwanie – powiedział profesor.

Uczestnicy konferencji dowodzili, że zaspokojenie potrzeb informacyjnych Polonii i ciągły wzajemny kontakt z Polską, posługiwanie się nowoczesnymi środkami wymiany informacji są niezmiernie ważne w zachowaniu tożsamości narodowej w obliczu globalnych zmian w Europie i na świecie.

„Strona francuska już dziś snuje plany kolejnego tego typu spotkania, co najlepiej świadczy o odbiorze konferencji” czytamy w liście gratulacyjnym, przesłanym po konferencji do prof. Katarzyny Chałasińskiej-Macukow, rektor UW przez Wandę Krystynę Kalińską, Konsula Generalnego w Lille.

Jubileusz Instytutu Biochemii

Zgodnie z zarządzeniem Ministra Szkolnictwa Wyższego 10 września 1958 r. na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi UW utworzono Katedrę Biochemii, na której kierownika została powołana prof. Irena Chmielewska, inicjatorka i organizatorka studiów biochemicznych na uczelni. Z okazji 50. rocznicy ukończenia studiów przez pierwszych dyplomantów, 8 grudnia 2008 r. w gmachu Wydziału Biologii odbyło się spotkanie władz i pracowników wydziału z byłymi i obecnymi pracownikami Instytutu Biochemii oraz absolwentami, którzy wykonywali prace licencjackie, magisterskie i doktorskie pod opieką początkowo pracowników katedry, a od roku 1969 – Instytutu Biochemii.

Uroczystość otworzyła prof. Joanna Pijanowska, dziekan Wydziału Biologii, następnie uczestników powitała prof. Jadwiga Bryła, p.o. dyrektora Instytutu Biochemii. Głos zabrali także prof. Marta Kicińska-Habior, prorektor UW oraz prof. Andrzej Dzugaj, prezes Polskiego Towarzystwa Biochemicznego, które w 2008 r. również obchodziło 50-lecie swojego istnienia. W trakcie spotkania została przedstawiona historia utworzenia i działalność Katedry Biochemii, według wspomnień pierwszego pracownika prof. Zbigniewa Kaniugi, autora opracowania „Katedra Biochemii 1958-68” oraz pierwszych absolwentów: dr Moniki Fonberg-Mroczek (rocznik '58) oraz prof. Ireny Szumieli (rocznik '60). Następnie prof. Bryła przedstawiła 40-letnią działalność naukowo-dydaktyczną instytutu oraz losy absolwentów, którzy wykonywali prace magisterskie w katedrze i instytucie. Kierownicy zakładów zaprezentowali różnorodną tematykę prowadzonych obecnie badań naukowych.

Ku pamięci prof. Aleksandra Gieysztora

26 lutego odbyły się na uniwersytecie uroczyste obchody związane z 10. rocznicą śmierci profesora Aleksandra Gieysztora, mediewisty, uznanego za jednego z najwybitniejszych polskich historyków. W swej karierze prof. Gieysztor pełnił funkcję dyrektora Instytutu Historycznego UW (1955-75), prezesa Polskiej Akademii Nauk oraz dyrektora Zamku Królewskiego w Warszawie.

W ramach obchodów rocznicy śmierci profesora, w budynku dawnej Biblioteki Uniwersyteckiej, zaprezentowano wystawę, której celem było przybliżenie jego sylwetki. Otwarcia wystawy dokonali prof. Włodzimierz Lengauer, prorektor UW oraz prof. Maria Koczerska, dyrektor IH. Następnie jednej z sal Instytutu Historycznego nadano imię prof. Aleksandra Gieysztora. Towarzyszył temu pokaz filmu dokumentalnego poświęconego profesorowi.

60-lecie Instytutu Muzykologii

4 marca w Pałacu Tyszkiewiczów-Potockich Instytut Muzykologii obchodził uroczystość 60 lat swego istnienia. Jubileusz zbiegł się z 100. rocznicą urodzin założycielki instytutu – prof. Zofii Lissy.

Zaproszeni goście przypomnieli sylwetkę prof. Lissy, która swą karierę naukową rozpoczynała na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie. Pod koniec lat 40. związała się z Uniwersytetem Warszawskim, doprowadzając do utworzenia w październiku

1948 r. Zakładu Muzykologii w ramach Sekcji Historii Wydziału Humanistycznego UW. Zakład został przekształcony w Katedrę Muzykologii, która z kolei, w 1958 r. uzyskała status instytutu. Do 1975 r. prof. Lissa pełniła funkcję jego dyrektora.

Dzisiaj instytut, działający w ramach Wydziału Historycznego, składa się z pięciu zakładów: Powszechnej Historii Muzyki, Historii Muzyki Polskiej, Teorii i Estetyki Muzyki, Etnomuzykologii oraz Muzykologii Systematycznej. Badania realizowane w instytucie dotyczą przede wszystkim historii muzyki polskiej i powszechnej od czasów najdawniejszych po okres współczesny. Podejmowana jest także problematyka polskiej muzyki ludowej oraz kultury muzycznej mniejszości narodowych mieszkających na terenie kraju oraz zagadnienia muzyki w kontekście osobliwości biologicznych i kulturowych człowieka.

Nagroda im. Jana Baudouina de Courtenay

Pod koniec ubiegłego roku, podczas ogólnopolskiej konferencji naukowej Instytutu Kultury Polskiej UW „Victor W. Turner – prekursor antropologii widowisk”, wręczono, przyznana po raz pierwszy, nagrodę Wydziału Polonistyki UW im. Jana Baudouina de Courtenay. Jej laureatem został prof. Andrzej Mencwel. Jury konkursu doceniło całokształt dorobku naukowego profesora, ze szczególnym uwzględnieniem pracy „Wyobrażenia antropologiczne. Próby i studia”, która ukazała się w 2007 r. nakładem Wydawnictw Uniwersytetu Warszawskiego. Książka była w 2007 r. nominowana do Nagrody Nike.

– Książka ta projektuje pewną całość, choć pisana była w cząstkach. (...) Najstarsze z zawartych tu studiów zostało pomyślane przed dwudziestu prawie laty, najnowsze ukończyłem przed oddaniem tomu wydawcy – pisał o swej pracy prof. Mencwel. – Całość tę określa projekt takiej historii kultury, która byłaby antropologiczną, ujmującą tedy człowieka w kulturze i kulturę w człowieku – tłumaczył ideę publikacji.

Prof. Andrzej Mencwel jest wybitnym kulturoznawcą oraz antropologiem kultury. Od początku kariery naukowej związany jest z Wydziałem Polonistyki UW; jest także członkiem Komitetu Nauk o Kulturze PAN oraz prezesem honorowym Polskiego Towarzystwa Kulturoznawczego.

Zaproszenie

Profesor Zahi Hawass na UW

29 kwietnia br. o godz. 16.45 w auli dawnej Biblioteki odbędzie się wykład światowej sławy egipskiego archeologa prof. Zahi Hawassa poświęcony jego najnowszym odkryciom na terenie królewskiej nekropolii w Sakkarze. Prof. Zahi Hawass, sekretarz generalny Egipskiej Najwyższej Rady Starożytności to jeden z najwybitniejszych egiptologów, którego wykłady ściągają tłumy słuchaczy na całym świecie. Prowadzone przez niego wykopaliska na terenie królewskiej nekropolii w Gizie przyniosły sensacyjne wyniki w tym m.in. odkrycie wioski robotników i rzemieślników budujących słynne piramidy Cheopsa, Chefrena i Mykerinosa (ok. 2575-2465 p.n.e.). Wożąc Baharija prof. Hawass odkopał ogromną nekropole z okresu ptolemejskiego i rzymskiego. Twarze wielu spośród kilku tysięcy znalezionych mumii pokrywały złote maski. Nic dziwnego, że cmentarzysko nazywano „Doliną Złotych Mumii”. Z jego inicjatywy w Dolinie Królów w zachodnich Tebach podjęto badania nad mumią, która być może należała do słynnej królowej Hatszepsut. Ten projekt, jak również badania w Sakkarze, wiążą się z problematyką, jaką zajmują się polscy uczeni z Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej UW prowadzący prace w Sakkarze i w świątyni królowej Hatszepsut w Deir el-Bahari. Przed dwoma laty, w 70. rocznicę polskich wykopalisk w Egipcie, prof. Hawass był inicjatorem uhonorowania profesora Kazimierza



Wizyta prof. Hawassa (pierwszy z prawej) na wykopaliskach Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej UW w Sakkarze, fot. J. Dąbrowski

Michałowskiego – twórcy polskiej szkoły archeologii śródziemnomorskiej. Przed Muzeum Egipskim w Kairze odsłonięto popiersie polskiego badacza. Prof. Zahi Hawass jest autorem kilkudziesięciu publikacji naukowych i popularnonaukowych. Wykładał na Uniwersytecie Amerykańskim w Kairze i na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. ■

Opracowanie: Redakcja

Współpraca: prof. Jadwiga Bryła (Wydział Chemii), Maciej Cytowski (ICM), prof. Joanna Kufel (Wydział Biologii), dr Andrzej Mikulski (Wydział Biologii), Wojciech Płoński (DS 6), Krystyna Polaczek (Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej), dr Anna Rosner (WPiA), prof. Danuta Stasik (Wydział Orientalistyczny), prof. Elżbieta Barbara Zybert (Wydział Historyczny).

Wyjaśnienie:

W poprzednim numerze, w dziale Kalejdoskop na str. 5 podaliśmy błędnie nazwisko jednej z laureatek konkursu Towarzystwa Przyjaciół UW. Wyróżnienie specjalne rektor UW przyznano Magdalenie Mulendze. Za pomyłkę przepraszamy.

Redakcja

Nominacje profesorskie

**Prezydent RP Lech Kaczyński
nadał tytuł naukowy profesora następującym
pracownikom Uniwersytetu Warszawskiego:**

prof. dr hab. Marii Joannie Doligalskiej (Wydział Biologii)
prof. dr hab. Stanisławowi Dobiesławowi Głazkowi
(Wydział Fizyki)
prof. dr hab. Teresie Rzący-Urban (Wydział Fizyki)
prof. dr hab. Markowi Trippenbachowi (Wydział Fizyki)
prof. dr hab. Jerzemu Janowi Małeckiemu (Wydział Geologii)

**Senat UW na posiedzeniu 18 lutego 2009 r.
pozytywnie zaopiniował wnioski w sprawie mianowania
na stanowisko:**

profesora zwyczajnego na czas nieokreślony

prof. dr hab. Wiesława Władyki
(Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych)
prof. dr hab. Jerzego Miziołka (Wydział Historyczny)

profesora nadzwyczajnego na czas nieokreślony

dr hab. Lidii Kasarełło (Wydział Orientalistyczny)
dr hab. Piotra Tarachy (Wydział Orientalistyczny)
dr hab. Emilii Łojek (Wydział Psychologii)
prof. dr hab. Bogdana Zawadzkiego (Wydział Psychologii)

profesora nadzwyczajnego na pięć lat

dr hab. Grażyny Firlit-Fesnak
(Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych)

dr hab. Gertrudy Uścińskiej
(Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych)

dr hab. Roberta Sucharskiego
(Instytut Badań Interdyscyplinarnych „Artes Liberales”)

**Senat UW na posiedzeniu 18 marca 2009 r. pozytywnie
zaopiniował wnioski w sprawie
mianowania na stanowisko:**

profesora zwyczajnego na czas nieokreślony

prof. dr hab. Jacka Kochanowicza
(Wydział Nauk Ekonomicznych)
prof. dr hab. Jana Michałka (Wydział Nauk Ekonomicznych)
prof. dr hab. Anny Kwak
(Wydział Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji)

profesora nadzwyczajnego na czas nieokreślony

dr hab. Haliny Karaś (Wydział Polonistyki)

profesora nadzwyczajnego na trzy lata

dr hab. Marty Kamińskiej-Feldman (Wydział Psychologii)

zatrudnienia na stanowisku:

profesora nadzwyczajnego na czas nieokreślony

prof. dr hab. Grażyny Szewczyk (Centrum Kształcenia
Nauczycieli Języków Obcych i Edukacji Europejskiej)

profesora nadzwyczajnego na pięć lat

dr hab. Sławomira Wąciora (Centrum Kształcenia Nauczycieli
Języków Obcych i Edukacji Europejskiej)

Edukacja otwarta

KATARZYNA ŁUKASZEWSKA



Na kampusie, fot. M. Kluczek

■ Gdy w sierpniu 2008 r. ruszał Uniwersytet Otwarty UW chyba nikt nie spodziewał się, że oferowane przez uczelnię kursy dla dorosłych spotkają się aż z takim zainteresowaniem. Już w pierwszym trymestrze zajęcia odbywały się w 39 grupach (w każdej z nich było średnio 27 słuchaczy). W kolejnym trymestrze kandydatów było tak wielu, że liczba grup wzrosła do 57. 30 marca ruszyła rejestracja kandydatów na trzeci trymestr, jeśli i tym razem „padną rekordy” nikt już nie będzie zaskoczony.

W zajęciach UO, prowadzonych przez wykładowców UW, może brać udział każdy kto ukończył 16 lat, bez względu na posiadane wykształcenie. Największą popularnością cieszyły się dotychczas zajęcia odbywające się w ramach bloków języki i narody oraz biznes, gospodarka i prawo. Wielu chętnych przyciągnęły niekonwencjonalne kursy angielskiego (*Słynne powieści angielskie*), hiszpańskiego (*Hiszpanie i hiszpański*) oraz rosyjskiego (*Rosyjski savoir-vivre*). Przebojami okazały się z jednej strony *Analiza finansowa i statystyczna w Excelu*, z drugiej zaś *Tańce w kręgu. Rozwijanie ekspresji artystycznej połączone z poznawaniem innych kultur*, co pokazuje jak różnorodne są zainteresowania i potrzeby słuchaczy.

Uniwersytet Otwarty będzie się rozwijał. W planach są nowe formy kształcenia (kursy internetowe oraz korespondencyjne), studia podyplomowe z zakresu edukacji otwartej oraz telewizyjny kanał edukacyjny, na wzór BBC Open University. Celem jest stworzenie na UW ogólnopolskiego centrum edukacji otwartej. Więcej o ofercie UO na stronie: www.uo.uw.edu.pl. ■

Opinie

Prof. Radosław Pawelec, Instytut Języka Polskiego UW, prowadzi zajęcia „Prawo i język”

Zajęcia, które prowadzę wspólnie z mgr. Adamem Niewiadomskim i mgr Anną Mróz, mają na celu podniesienie sprawności uczestników w pisaniu pism prawnych i urzędowych, zarówno sprawności merytorycznej, czyli prawnej, jak i formalnej – związanej z poprawnością i precyzją języka. Być może ten właśnie wybitnie ich praktyczny aspekt sprawia, że cieszą się dużą popularnością.

Same zajęcia pod względem wymagań stawianych studentom, sposobu prowadzenia i przebiegu są takie same, jak zwykle zajęcia na UW. Oczywiście są też pewne różnice. Wynikają one przede wszystkim z tego, że wśród uczestników są zarówno osoby młode, jak i osoby w średnim wieku oraz starsze. To zróżnicowanie sprawia, że niektóre dyskusje są bardzo interesujące – wszak uczestnicy mają zupełnie różne doświadczenia życiowe.

Np. jesienią 2008 r. rozmawialiśmy o pojęciu *komercjalizacji*, które wtedy było na czołówkach gazet, miało nawet stać się elementem ważnego pytania w ogólnonarodowym referendum. Okazało się, że wywołuje ono odmienne asocjacje u różnych osób: jednym kojarzy się po prostu z działalnością handlową, nastawioną na zysk, innym z upadkiem kultury i sztuki, nastawionej tylko na pieniądź, jeszcze innym – ze sklepami komercyjnymi, działającymi w latach 80. XX w. (a więc z pewną nierównością społeczną). Samo prowadzenie dyskusji bywa niekiedy trudniejsze niż w przypadku studiów stacjonarnych: studenci UO mało się znają, trzy miesiące trwania kursu to czas zbyt krótki, by oswoić się z nową sytuacją, z wykładowcami, a także zawrzeć znajomości z koleżankami i kolegami z grupy.

Pod jednym względem większość studentów UO góruje jednak nad przeciętnymi studentami UW. W zajęciach UO (przynajmniej tych, które ja prowadzę) uczestniczą osoby mające na ogół dość bogate doświadczenia zawodowe związane z tematyką kursu. Sprawia to, że często także prowadzący zajęcia może wzbogacić swoją wiedzę, a przede wszystkim skonfrontować znaną sobie teorię z praktyką.

Małgorzata Owczarzak, psycholog, uczestniczka kursów „Słynne powieści angielskie I i II”

W mojej grupie są osoby zarówno przed trzydziestką, jak i czterdziesto-, pięćdziesięcioletnie. Świetnie się dogadujemy i wspieramy. W dyskusjach poruszamy problemy współczesnego świata – wzrost liczby rozwodów, czy przestępstw wśród nieletnich. Oczywiście zawsze inspiracją do rozmowy są przeczytane fragmenty powieści. Nie będzie nadużyciem, jeśli powiem, że jeszcze na żadnym kursie, czy to w szkole językowej, czy na uczelni – nie rozwinęłam się tak językowo, jak na kursie UO UW.

Joanna Siedlanowska, prawnik, uczestniczka kursu „Prawo i język”

Kursy UO prowadzone są bardzo profesjonalnie, na poziomie akademickim. Wykładowcy przekazują wiedzę w sposób dokładny i jasny. Forma zajęć pozwala na szybkie przyswajanie nowych informacji i wykorzystywanie ich w pracy zawodowej. Kursy są dostosowane do wymogów rynku pracy oraz indywidualnych zainteresowań. System 1,5-godzinnych spotkań raz w tygodniu pozwala na połączenie kształcenia z pracą i życiem rodzinnym.

Anna Wolszakiewicz, dyrektor marketingu, uczestniczka kursów „Komunikacja interpersonalna z elementami autoprezentacji w sytuacjach zawodowych” oraz „Gry i negocjacje”

Wybrane przeze mnie kursy miały charakter warsztatów. Każdy uczestnik zajęć był zaangażowany w wykonywanie zadań, niezależnie od ich stopnia trudności.

UO daje wszystkim (niezależnie od wieku, wykształcenia, płci, preferencji zawodowych) możliwość zdobycia dodatkowej wiedzy i praktyki z wybranych dziedzin życia, tak zawodowego jak i osobistego. Bardzo wartościowe jest to, że UO daje możliwość uczenia się w towarzystwie osób z różnych społeczności, o wielorakich zainteresowaniach. ■

Co ma Darwin do Uniwersytetu Warszawskiego?

JERZY DZIK

■ Nie ma nowoczesnej nauki bez teorii ewolucji. Teoria ta głosi, że przemiany ewolucyjne w świecie żywym są skutkiem selekcji przez środowisko naturalne tych, spośród bytujących w nim organizmów, które mają korzystne dziedziczne właściwości. Dziś wiemy, że dziedziczenie cech dokonuje się dzięki katalizowanemu przez białka powielaniu kwasów nukleinowych zawartych w komórkach szlaku płciowego. Wcząsteczce kwasu nukleinowego zapisana jest trójkowym kodem genetycznym kolejność aminokwasów, od której zależą właściwości białek. Przypadkowe błędy przy kopiowaniu zapisu są źródłem dziedziczonej różnorodności, która podlega selekcji. Tak rozumiany mechanizm zjawiska ewolucji, którego idea przedstawiona została przed stu pięćdziesięciu laty przez Karola Darwina, jest jednym z ważniejszych narzędzi oglądu świata. Nie tylko w biologii, ale i w medycynie, socjologii, psychologii, czy coraz rozleglejszych obszarach wiedzy o człowieku i jego kulturze. Dzięki darwinowskiemu myśleniu udało się zrozumieć zagadkową niegdyś naturę zjawisk odporności organizmów, a jest nadzieja, że podejście to pomoże kiedyś pojąć też tajemnicę działania ludzkiego mózgu. Jest tak dlatego, że mechanizm rozpoznany przez Darwina działać może również poza sferą genów i białek, a wręcz poza światem żywym. Wystarczy, by dokonywana była selekcja różnorodności w odniesieniu do w miarę ściśle dziedziczonych cech. Nietrudno dostrzec takie sytuacje w przemianach różnych aspektów ludzkiej cywilizacji. Wolny rynek czy rozwój techniki są szczególnie spektakularnymi przykładami mechanizmu darwinowskiego.

Ta rozległość zastosowań teorii Darwina bywa inspiracją do koncepcji istotnie wpływających na stosunki międzyludzkie. Pamiętamy przecież, jakie były skutki „darwinizmu społecznego” – zastosowania w polityce zasad raczej powierzchownie pojmowanej „walki o byt”. Licznych zwolenników ma koncepcja przeciwna – postulat objęcia świata zwierząt przywilejami, które są wynikiem tysięcy ewolucji ludzkiej kultury i które zastrzeżone były dotąd dla ludzi. Wspólną cechą tych idei jest ignorowanie zasadniczej odrębności pól zastosowania darwinowskiej koncepcji doboru: w świecie przyrody (gdzie selekcji podlegają osobniki, niezależnie od tego, co sobie myślą) i w ludzkiej cywilizacji (gdzie selekcji podlegają idee lub przedmioty, zaś wyłączana spod niej jest ludzka osoba). Głębsza refleksja nad naturą ewolucji może dać zatem korzyści daleko wykraczające poza sferę czystej nauki.

Zjawisko ewolucji biologicznej zyskało precyzyjne objaśnienie w teorii Darwina, która przetrwała niezliczone próby obalenia i ma dziś status porównywalny z teorią heliocentryczną Kopernika

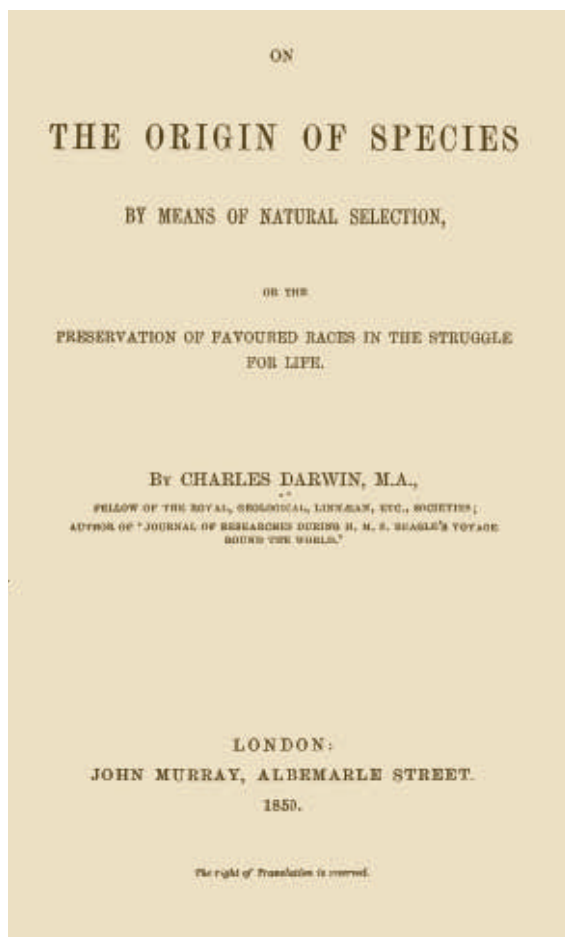


Karol Darwin, ok. 1859, źródło: University College London

w astronomii. Trzeba mieć jednak świadomość, że rozpoznawanie przebiegu ewolucji i poszukiwania sposobów jego odtwarzania zainicjowane zostały długo przed Darwinem i rozwijane były niezależnie od akceptacji jego teorii, również w czasach, kiedy nie cieszyła się ona uznaniem wśród biologów. Konsekwencje tego nurtu badań były równie istotne, co pogłębianie rozumienia samego procesu ewolucji. To odkrycia na tym polu wzbudzały niegdyś najwięcej religijnie motywowanych kontrowersji, szczególnie w odniesieniu do genezy biologicznej postaci czło-

wieka. Bez znajomości przebiegu ewolucji, czyli filogenezy, nie potrafilibyśmy sensownie określić naszego miejsca w przyrodzie ani zinterpretować złożoności współczesnego nam świata istot żywych. Najbardziej dynamicznie rozwijające się działy przyrodoznawstwa – biologia molekularna czy biologia rozwoju – są nie do pomyślenia bez odwołań do ewolucyjnej historii badanych form życia. A to zmusza do konfrontacji ze szczególnym, acz rzadko podejmowanym, aspektem biologii. Otóż biegu ewolucji nie da się przewidzieć. Umyka klasycznej newtonowskiej metodologii nauki, której treścią od stuleci jest przewidywanie skutków zastosowania teorii i porównywanie ich z obserwacjami zdarzeń rzeczywistych. Wiemy, że nie tylko w odniesieniu do ewolucji biologicznej ta procedura jest zawodna. Odnosi się to do wszelkich zjawisk o naturze historycznej, co ustawia ewolucję życia w jednym szeregu z ewolucją ludzkiej kultury. Znamienne, że metody odtwarzania przebiegu ewolucji, doskonalone z zapałem przez przyrodników, zrodziły się niegdyś w umysłach językoznawców i historyków kultury. Dziś zaś w daleko bardziej wyrafinowanej postaci wkraczają ponownie do rewiru humanistyki. Podejście ewolucyjne nie tylko umożliwia więc zastosowanie rygorów ścisłej metody naukowej do nauk historycznych, przyrodniczych czy humanistycznych. Otwiera ono rozległe pole integracji humanistyki z przyrodoznawstwem. W Roku Darwina mamy okazję to zrozumieć i zastosować.

Po stuleciu postępującej specjalizacji badań i izolowaniu się od siebie poszczególnych działów wiedzy, nadchodzi pora na podjęcie próby przywrócenia stanu jedności nauki z czasów życia Karola Darwina. Inspirowany przez badaczy z nieraz odległych dziedzin, Darwin nie musiał wymyślać terminu „ewolucja”, którego w zasadzie nie używał, ani nawet „transmutacja gatunków”, którego używał. Sama idea, że ewolucja jest skutkiem selekcjonowania różnorodności osobników przez środowisko naturalne, przyszła do głowy wcześniej (albo w tym samym mniej więcej czasie) i innym badaczom zainspirowanym podobnymi lekturami. Darwin był jednym z wybitniejszych ówczesnych przyrodników, być może najwybitniejszym, ale przecież sam włożył do skarbicy ówczesnej wiedzy tylko tyle, ile może dokonać jeden badacz podczas swojego niedługiego życia. Darwin zapoznał się z rezultatami badań swoich poprzedników i współczesnych, korzystał z ich rad i pomocy w poznawaniu i rozumieniu zjawisk. Pod tym względem zasady tworzenia nauki nie zmieniły się do dziś, mimo wzrastającej złożoności technik badawczych i ich kosztowności. I dziś o sukcesie światowym stanowi siła lokalnego intelektualnego zaplecza badacza. Anglia takie zaplecze Darwinowi zapewniła za życia, a dziś jest strażnikiem jego intelektualnego dziedzictwa. To nie jest błahy aspekt sprawy. Warto zastanowić się nad nim, mając w pamięci karierę Karola Darwina.



Strona tytułowa I wydania „O powstawaniu gatunków”

No, bo dlaczego w powszechnej opinii przyrodników Karol Darwin uważany jest za jednego z największych uczonych wszechczasów? Dlatego przede wszystkim, że jego osoba i działalność przedstawia w najbardziej klarowny i zwarty sposób te cnoty i umiejętności, które dały nauce nowoczesnej moralną moc i najlepszy z dotąd dostępnych kluczy do tajemnic świata przyrody. Karol Darwin uosabia idee misji uczonego i naukowego podejścia do poznawania świata, jak żaden inny ze sławnych badaczy. Karl R. Popper sto lat później nazwał takie podejście „zdroworozsądkowym racjonalizmem”. Nie chodzi w nim bynajmniej o narzucanie obrazu świata wyprowadzonego z apriorycznych przesłanek. Wręcz przeciwnie, to postawa pokory w stosunku do obserwacji i ostrożności w ich interpretowaniu, a przede wszystkim krytycyzm w stosunku do własnych dokonań. Całym swoim życiem Darwin dawał świadectwo duchowego ukoronowania w tradycji sceptycyzmu i empiryzmu. Tradycji, której anglosaska nauka zawdzięcza swą dzisiejszą potęgę. Niezliczona jest rzesza badaczy, którzy poświęcali całe życie na obronę i doskonalenie idei własnego autorstwa, prawdziwych lub fałszywych. Darwin jest najszerzej znanym spośród tych, którzy jako pierwsi uznali obserwację i doświadczenie za

wyłączne kryteria prawdziwości swoich tez. Darwin wytrwale szukał wyjaśnień prostych i solidnie podbudowanych empirycznie, unikając zbytecznej uczoności języka i formalizmu prezentacji. Miał talent popularyzatora. Prostota i jasność wyводу umożliwiła mu dotarcie z argumentami do szerokiego kręgu słuchaczy i czytelników, daleko poza krąg uczonych specjalistów. Tego też dziś oczekujemy od pracowników Uniwersytetu – to jest przecież jedna z głównych cnót nauczycieli uniwersyteckich.

Odwolując się do wciąż żywego ducha myśli ewolucyjnej krzewimy więc wartości, którym przyszło nam służyć i jako uczącym i nauczonym. To zaś bez wątpienia powód wystarczający, by wraz z całym światem nauki czcić pamięć Darwina na naszej uczelni w roku dwustulecia jego urodzin i stu pięćdziesięciolecia publikacji jego *opus magnum*.

Prof. dr hab. Jerzy Dzik jest kierownikiem Zakładu Paleobiologii i Ewolucji Wydziału Biologii UW oraz pracownikiem Instytutu Paleobiologii PAN.

O ostatnich wydarzeniach Roku Karola Darwina na Uniwersytecie Warszawskim, m.in. o wystawie „Darwin – człowiek, idea, pasja”, informujemy w „Kalejdoskopie”, str. 6-7.

Już wkrótce w ramach Roku Karola Darwina odbędzie się uroczystość nadania tytułu doktora *honoris causa* prof. Francisco J. Ayali. Jeden z najwybitniejszych żyjących ewolucjonistów odbierze honorowy doktorat Uniwersytetu Warszawskiego 15 maja. Prof. Ayala weźmie też udział 18 maja w Krakowskich Warsztatach Metodologicznych „Ewolucja wszechświata i ewolucja życia”, współorganizowanych przez UW.

Cyfrowa mapa granicy Moho

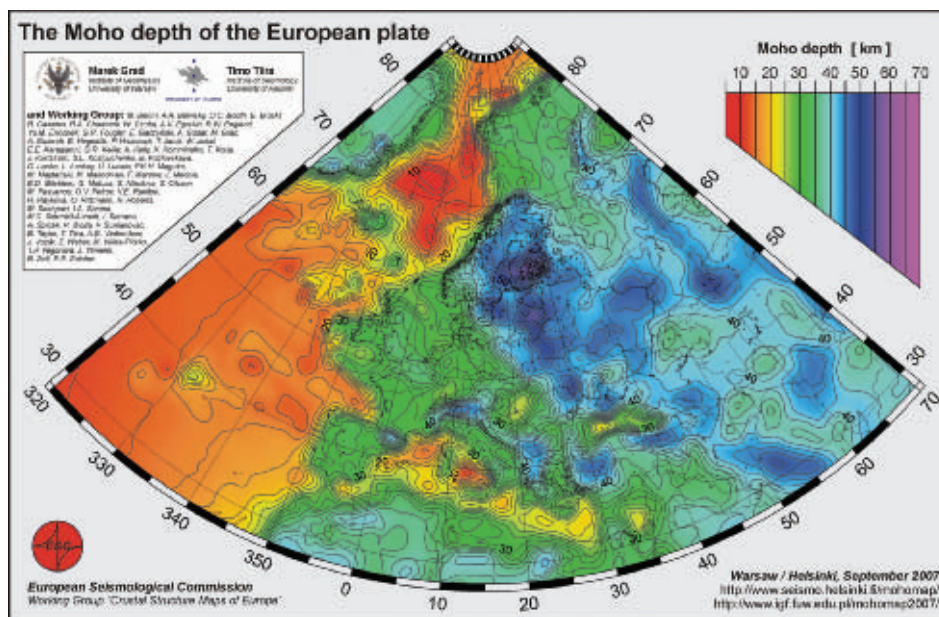
ANNA KORZEKWA

■ W dniu 8 października 1909 roku w dolinie rzeki Kupa, na południe od Zagrzebia miało miejsce silne trzęsienie ziemi, które zostało zarejestrowane przez wszystkie stacje sejsmologiczne w Europie. Analizując ich zapisy, chorwacki naukowiec Andrija Mohorovičić stwierdził istnienie różnic prędkości rozchodzenia się fal sejsmicznych na różnej głębokości. Nieciągłość na głębokości ok. 50 km odpowiada różnym skałom budującym skorupę i niżej zalegający płaszcz Ziemi. Od nazwiska odkrywcy nieciągłość zaczęto wkrótce nazywać nieciągłością Mohorovičića lub po prostu Moho.

W niespełna sto lat po odkryciu dokonanych przez Mohorovičića naukowcy opracowali cyfrową mapę granicy Moho dla całej płyty europejskiej, sięgającej od grzbietu śródatlantyckiego na zachodzie po Ural na wschodzie oraz od Morza Śródziemnego na południu do Arktyki na północy. Autorami mapy są prof. Marek Grad z Instytutu Geofizyki Uniwersytetu Warszawskiego oraz dr Timo Tiira z Uniwersytetu w Helsinkach. Opracowana i opublikowana przez naukowców w lutowym numerze magazynu „*Geophysical Journal International*” mapa jest pierwszym tego typu dziełem, obejmującym nie tylko fragmenty kontynentu, ale całą płytę europejską. Od powstałych wcześniej map, odróżnia ją także m.in. to, że zawiera dane o wysokiej rozdzielczości, uzyskane w trakcie badań prowadzonych w ostatnich latach. Mapa dostępna jest bezpłatnie w sieci (<http://www.igf.fuw.edu.pl/mohomap2007/>) oraz <http://www.seismo.helsinki.fi/mohomap/>).

Naukowcy wydzielili trzy wielkie prowincje geotektoniczne na obszarze szeroko pojętej Europy. Im bardziej na zachód, tym płyta tektoniczna jest młodsza, a skorupa cieńsza. Odwrotnie więc niż w naukach społecznych – w tektonice „stara Europa” to Europa Wschodnia. Najstarsza, archaiczna i proteozoiczna skorupa ma miąższości od 40 do 60 km. Kontynentalna skorupa waryscyjska i alpejska ma miąższość od 20 do 40 km, w najmłodszej zaś oceanicznej skorupie atlantyckiej granica Moho przebiega na głębokości od 10 do 20 km.

Prace nad samą mapą trwały trzy lata. – To nie jest mapa, którą można zrobić na podstawie danych z satelity. Do granicy Moho nie sięga żadne promieniowanie, ani wiercenia – tłumaczy prof. Marek Grad. Aby określić położenie granicy Moho, badacze prowadzą eksperymenty sejsmiczne – wzbudzają fale sejsmiczne w odwiertach. – Po analizie czasu rozchodzenia się fali, możemy stwierdzić jaka jest jej prędkość, a tym samym możemy też określić głębokość granicy od której się ona odbija – dodaje.



Mapa granicy Moho, źródło: www.igf.fuw.edu.pl

Do opracowania mapy naukowcy sięgnęli po dane z ponad 250 indywidualnych profili i modeli geofizycznych przygotowanych w ciągu ostatnich trzydziestu lat przez naukowców z wielu krajów europejskich, a także Stanów Zjednoczonych i Kanady. Spora część danych pochodzi także z eksperymentów prowadzonych przez polskich naukowców głównie na obszarze Europy Środkowej. W ostatniej dekadzie na tym obszarze przeprowadzone zostały eksperymenty sejsmiczne uchodzące za największe tego typu przedsięwzięcia na świecie: POLONAISE97, CELEBRATION 2000, ALP 2002 i SUDETES 2003. We wszystkich tych eksperymentach głównymi pomysłodawcami, organizatorami i wykonawcami byli profesorowie Marek Grad oraz Aleksander Guterch z Instytutu Geofizyki PAN. Uzyskane w wyniku eksperymentów wyniki składają się na jedną z najbardziej interesujących części mapy – przejście między „starą” i „młodą” skorupą. W Polsce przejście to następuje w przybliżeniu wzdłuż linii Koszalin – Lublin.

Mapa spotkała się już z wielkim zainteresowaniem w europejskich i amerykańskich ośrodkach naukowych. – Będzie ona wykorzystywana nie tylko w sejsmologii, ale również w badaniu rozkładów gęstości wnętrza Ziemi – wyjaśnia autor opracowania. Ma ona ogromne znaczenie dla badań procesów fizycznych zachodzących we wnętrzu Ziemi; stanowi także istotną podstawę dla badań ewolucji naszej planety. W skorupie ziemskiej znajduje się bowiem zapis procesów, które kształtowały w przeszłości Ziemię. – Mapa ma duże znaczenie dla badania jeszcze głębszego wnętrza Ziemi – płaszczu i jego niejednorodności – dodaje jej autor. Mapa będzie też pomocna w poszukiwaniach surowców. ■

Oblicza miasta

KATARZYNA ŁUKASZEWSKA

Poza turystycznym szlakiem

■ Turysta po raz pierwszy odwiedzający Warszawę może – zależnie od swej docieklivosti – zobaczyć dwa zupełnie różne oblicza miasta. Jeśli będzie się trzymał tradycyjnej, przewodnikowej trasy (Nowy Świat – Krakowskie Przedmieście – Starówka – Łazienki – Wilanów) istnieje szansa, że zapamięta Warszawę jako miasto ładne, przyjazne, pełne zieleni i dobrej architektury. Jeżeli jednak choć na chwilę zejdzie z utartego szlaku zobaczy diametralnie inny obraz stolicy – ogromne blaszane baraki na pl. Defilad, rozwalające się budy z sex shopami i kebabami przy ul. Marszałkowskiej, połamane płyty chodnikowe, prowizoryczne stargany na centralnych ulicach miasta. Rezygnując z taksówek na rzecz komunikacji miejskiej, przekona się, że prawie dwumilionowe miasto ma tylko jedną linię metra. Podziwianie warszawskiej architektury uniemożliwią mu zasłaniające widok ogromne reklamy przyklejone do fasad budynków i rzędy przydrożnych billboardów. Z problemami i absurdami mieszkańcy Warszawy muszą się zmagać na co dzień.

Widok przeszklonych nowoczesnych biurowców, sąsiadujących z brudem i biedą nasuwa pytanie, czym właściwie jest Warszawa. Europejską metropolią, czy jak zasugerował kilka lat temu prof. Bohdan Jałowiecki – miastem Trzeciego Świata? Nowoczesną stolicą śmiało wkraczającą w XXI wiek, czy przestrzenią pełną bolesnych wspomnień, która nie potrafi otrząsnąć się z przeszłości? Czym jest Warszawa, jaka jest i do kogo należy? Do mieszkańców, władz, prywatnych korporacji? Wśród poszukujących odpowiedzi na te pytania są autorzy wydanej niedawno pracy „Warszawa. Czyje jest miasto?” – prof. Bohdan Jałowiecki, dr Anna Tucholska, dr Maciej Smętkowski z Uniwersytetu Warszawskiego oraz dr Elżbieta Anna Sekuła ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. W publikacji nie dają prostych odpowiedzi. Specjaliści z różnych dyscyplin naukowych (socjologii, kulturoznawstwa i geografii) pokazują jak zmieniła się na przestrzeni ostatnich lat Warszawa i z jakimi obecnie boryka się problemami. Ideą projektu było zderzenie dwóch warstw badań – miękkiej, czyli rozmów z warszawianami, dziennikarzami i architektami oraz twardej, czyli danych statystycznych oraz wyników ankiet przeprowadzonych wśród mieszkańców miasta.

Chaos, chaos, chaos...

Eksperci zgodnym chórem wymieniają największe problemy Warszawy – narastający chaos przestrzenny i komunikacyjny, niską jakość przestrzeni publicznej. Ich głównym źródłem jest sposób zarządzania miastem – pozbawiony wizji, nacechowany niechęcią do podejmowania trudnych decyzji. Problemy potęguje też brak ciągłości władzy, gdyż kolejni rządzący odwołują większość decyzji poprzedników. – Miasto jest pewnym tworem, którego rozwój i budowa trwa dziesięciolecia. Przez ostatnie dwadzieścia lat w Warszawie było ośmiu prezydentów i komisarzy, czyli każdy z nich rządził średnio niecałe trzy lata. Jeżeli rządzący zmieniają się nawet częściej niż wynikałoby to z cyklu wyborczego to oczywiście, że nic dobrego z tego nie wynika – komentuje tę sytuację prof. Jałowiecki.



Budynek Metropolitan na pl. Piłsudskiego, fot. K. Łukaszevska

Najbardziej brzemiennym w skutki zaniedbanie władz miejskich jest zlekceważenie funkcji planistycznych. W ciągu ostatnich dwudziestu lat planami zagospodarowania przestrzennego objęto około 20 procent powierzchni miasta, większość przypadła na dzielnice nieurbanizowane (Wilanów, Białołękę). – To pokazuje, że władze miasta zapomniały o jednym z podstawowych celów prowadzenia gospodarki w mieście, czyli o zaprowadzeniu ładu przestrzennego, a ten należy rozumieć jako jeden z elementów podnoszących jakość życia mieszkańców – tłumaczy dr Smętkowski. – Wiąże się to trochę z dziedzictwem socjalistycznym, gdzie plany regulowały wszystko w najdrobniejszych aspektach. Gdy system się zmienił, zaczęto plany traktować jako coś silnie związanego ze starym systemem, co powinno zostać zmienione – dodaje. W innych krajach europejskich ścisłość regulacji planistycznych jest ogromna. Władze miast mają decydujący wpływ na to co i gdzie mogą zbudować prywatni inwestorzy. W Warszawie natomiast rządzą deweloperzy, kierujący się własnym ekonomicznym interesem. – Nie tylko w Warszawie firmy deweloperskie wpływają na rozwój miasta. Jednak w innych krajach ich działalność wplata się w ogólną wizję, którą mają władze publiczne. Tam wykorzystuje się kapitał prywatny do realizacji szerszych celów – wyjaśnia dr Smętkowski.

Problemem jest nie tylko chaotyczne usytuowanie nowych inwestycji, ale też ich jakość. Walory estetyczne i funkcjonalne nowych budynków często pozostawiają wiele do życzenia. Na czarnej liście przepytanych przez dr Tucholską oraz dr Sekułę znajdują się: Millenium Plaza, Blue City, niedokończony kompleks biurowy w Al. Jerozolimskich zwany „Solniczkami”, budynki TVP przy ul. Samochodowej oraz TP S.A. przy ul. Moniuszki. Najbardziej kontrowersyjna inwestycja ostatnich lat to Złote Tarasy. Badania pokazały, że Warszawiacy zaakceptowali je błyskawicznie, u architektów budzą mieszane uczucia. Zdarzają się oczywiście inwestycje dobre, ale nie jest ich zbyt wiele – Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie, Sąd Najwyższy, wieżowiec Rondo 1 przy rondzie ONZ. Czasem nawet dobra architektura nie

współbrzmni właściwie z otoczeniem, przykładem może być budynek Metropolitan na pl. Piłsudskiego.

Wizytówka miasta

Większość wymienionych inwestycji to sektor prywatny, tylko nieliczne zostały zrealizowane przez miasto. Władze koncentrują się bowiem na rozwoju transportu – budowie mostów, dróg, ale już nie ścieżek rowerowych. – Czy to jest rzeczywiście priorytet? – pyta dr Smętkowski. – Doświadczenia ogólnoswiatowe pokazują, że rozwój infrastruktury prowadzi do rozprzestrzenienia się zasięgu danej metropolii, przez co ta infrastruktura przestaje być wystarczająca. W większości miast zrozumiano, że popyt na nią zawsze będzie większy niż możliwość jego zaspokojenia – tłumaczy. A skupiając się na drogach, miasto zaniedbuje inwestycje, które powinny kształtować przestrzeń publiczną Warszawy. Budowa Muzeum Powstania Warszawskiego czy remont Krakowskiego Przedmieścia to jednak trochę za mało. – Przestrzeń publiczna jest wizytówką miasta. Każdy kto przyjeżdża, „czyta” miasto poprzez przestrzeń, w której może się znaleźć. W Warszawie takich przestrzeni nie ma. Piękne place zamieniane są na parkingi – ubolewa dr Tucholska. Nie inwestuje się w deptaki, parki, muzea, teatry. – W wielu stolicach europejskich panuje trend, że miasta stawiają na kulturę. W spisie inwestycji na najbliższe kilka lat w Warszawie nie ma ani jednej inwestycji kulturalnej – podkreśla prof. Jałowiecki.

Miasto nie stara się też w przestrzeń publiczną wpleść sztuki, czego przykładem jest odnowiony pasaż Wiecha, który niewiele wniósł do przestrzeni miejskiej. Choć akurat to zadanie utrudnia zapewne trwająca od lat dyskusja „tradycja versus nowoczesność”. Martyrologia Warszawy jest kluczowym elementem tożsamości miasta, stąd większość warszawskich pomników to miejsca upamiętniające wojnę i Powstanie. Próby usytuowania w przestrzeni miasta nowoczesnej sztuki wywołują często emocje. – Ileż dyskusji wzbudzały różowe jelonki na Powiślu czy palma na rondzie de Gaulle’a. A przecież to nie są żadne kontrowersyjne elementy miasta – dziwi się dr Tucholska.

Otwartej przestrzeni w mieście w ogóle ubywa. Z jednej strony dominującą rolę zaczynają odgrywać ogromne centra handlowe, które są imitacją przestrzeni miejskiej i prowadzą do wymierania dzielnic śródmiejskich. Z drugiej strony ogromne połacie miasta zawłaszczane są przez *gated communities*, czyli grodzone osiedla, których w Warszawie jest już ponad 200. Zjawisko charakterystyczne głównie dla Ameryki Łacińskiej, Azji i Afryki, w Europie jest absolutnym ewenementem. Nad jego zagadką głowią się od lat socjologowie. – Sądzę, że jest to kwestia ludzi, którzy napłynęli do Warszawy w ostatnim dwudziestolecu. Nie są osadzeni w społeczności miasta, nie wychowali się tu, nie mają znajomych, rodzin – są sami. Brak oparcia psychologicznego powoduje brak poczucia bezpieczeństwa. Poza tym są przekonani, że to podnosi ich status społeczny – przypuszcza prof. Jałowiecki. Bez względu na przyczyny, jedno jest pewne – negatywny wpływ grodzień na przestrzeń Warszawy. W sposób oczywisty utrudniają poruszanie się po mieście. Prowadzą też do pogłębiania segregacji społeczno-przestrzennej („gettoizacji”). Jednak jak pokazują badania, krytykowane przez ekspertów centra handlowe i strzeżone osiedla zyskały sobie dużą akceptację warszawian.

Miasto niczyje

Czyje jest więc miasto? – Chyba najbardziej trafną odpowiedź sformułowała Elżbieta Sekuła, która napisała, że miasto jest niczyje.



Pawilony przy ul. Marszałkowskiej, fot. K. Łukaszevska



Wszechobecna reklama, ul. Rośoła, fot. K. Łukaszevska

Nikt miastem jako wspólnym dobrem mieszkańców Warszawy po prostu się nie zajmuje – przyznaje prof. Jałowiecki. Sami mieszkańcy w dużej mierze nie czują się związani z Warszawą. Połowa z nich nie urodziła się w Warszawie, a stosunek do miasta przybyszów z zewnątrz odarty jest z emocji. – Stolica to przede wszystkim rynek pracy i nauki. Przyjeżdża się tu po to, żeby nawiązać kontakty, zrobić karierę i pieniądze. Żeby doświadczyć czegoś innego. Mało kto patrzy na Warszawę, jako na miasto, w które chciałoby się wrastać i rzeczywiście w nim być – tłumaczy dr Tucholska. – Warszawa postrzegana jest jako pewnego rodzaju odskocznia (pieniądze, wielka przestrzeń, oddech), ale jednocześnie jako miasto bez klimatu, w którym niespecjalnie chciałoby się zostać na dłużej – dodaje.

Są jednak tacy, którzy na Warszawę patrzą jeśli nie z miłością, to chociaż z odrobiną życzliwości. – Warszawiaczy lubią miasto za jego żywiołowość, za jego *genius loci* – za niesamowitą siłę wydzwignięcia się i zbudowania siebie od nowa – przekonuje pani doktor. – Odwołując się do słów Mikołaja Madurowicza, który znalazł piękną metaforę na określenie Warszawy, jest to i Babilon, i Jerozolima jednocześnie. Miasto, które z jednej strony jest święte i tragiczne, z drugiej strony dzikie i żywiołowe. Jest Babilonem, czyli bałaganem i wszystkim tym, co wnoszą swoją osobowością i swoimi obyczajami, ludzie, którzy tutaj przyjeżdżają – podsumowuje. ■

Afrykanie w Polsce. Widoczni czy niewidoczni?

Postulat badawczy

ELŻBIETA BUDAKOWSKA

■ Na przestrzeni ostatnich dekad Polska znalazła się w zasięgu ruchów migracyjnych, które poszerzyły jej krajobraz społeczny. Dzieje się tak dlatego, że nasze państwo, tradycyjnie emigracyjne, zaczyna być coraz częściej traktowane również jako docelowe państwo imigracyjne. W przyszłości napływy ludności mogą w większym stopniu nas różnicować pod względem kulturowym, a także naruszyć homogeniczność tkanki narodowościowej.

Zamieszkujące obecnie Polskę mniejszości narodowe, stanowią zaledwie niewielki odsetek społeczeństwa. Ukształtowane zostały w historycznym procesie dziejów tej części Europy. Tworzą swego rodzaju pogranicza kulturowe, których rozwój kulturalny jest mocno osadzony w różnego typu instytucjonalnych kontaktach mniejszość-większość.

Wyłanianie się nowych zbiorowości imigranckich wiąże się z nową gamą nierozpoznanych sytuacji, które potencjalnie mogą wносить pozytywne elementy wzbogacające, ale też skutkować napięciami społecznymi czy objawami nietolerancji, ksenofobii bądź dyskryminacji. Dlatego, nawet jeśli zjawisko transnarodowych przepływów migracyjnych nie jest jeszcze w Polsce tak intensywnie odczuwane, nie zwalnia to nas z obowiązku dokonywania głębszej refleksji i podejmowania działań badawczych pozwalających wybiegać w przyszłość.

Bardzo przydatne jest wykorzystanie dostępnej wiedzy o naturze zaistniałych już skutków przyływów imigracyjnych, aby unikać błędów zachodnich państw europejskich. Nie dostrzegły one w porę konsekwencji *otwartości* swojej polityki imigracyjnej z okresu powojennego i sprowadzania wówczas ludności o praktycznie jednakowym statusie robotników najemnych. Powstałe kilka dekad później zmiany struktury ludnościowej państw przyjmujących doprowadziły do wytworzenia się tam enklaw etnicznych, niejednokrotnie skupiających zmarginalizowanych etników. Wynikające z tego problemy społeczne kilkakrotnie już stały się źródłem ostrych napięć, godzących w harmonijność funkcjonowania społeczeństwa.

Polska również doczekała się już kilku zbiorowości imigranckich na swoim terytorium, które uczestniczą legalnie lub nielegalnie w krajowym rynku pracy i funkcjonują w świadomości Polaków. Korzystamy też z wniesionych przez nie odmienności kulturowych, zwłaszcza kulinarnych. Postawy społeczeństwa polskiego nie są jednak równie przyjazne wobec wszystkich typów inności, jakie pojawiły się w ramach przyływów migracyjnych, a zwłaszcza wobec imigrantów o odmiennym kolorze skóry.

Intencją tego artykułu jest zwrócenie uwagi na kilka kwestii związanych z jedną z nowo powstałych społeczności, która szczególnie silnie kojarzona jest z *Różnicą*, a mianowicie imigracją afrykańską. Dane oficjalne, dostępne w Urzędzie Repatriacji

i Cudzoziemców pokazują, że imigranci afrykańscy legalnie przebywający w Polsce wywodzą się z Afryki Północnej oraz Afryki Sybaryjskiej. Są grupą silnie zróżnicowaną wewnątrz, co nie zmienia faktu, że zwłaszcza czarnoskórzy Afrykanie, są odbierani jako jednolita pod względem rasowym grupa imigrantów.

Polacy nie posiadają zbyt wielu doświadczeń w kontaktach z czarnoskórymi Afrykanami, bo też i obecność Afrykanów w Polsce nie posiada długiej historii. Na szerszą skalę zaczęli przybywać do Polski wraz ze zmianą kolonialnego statusu ich państw w latach sześćdziesiątych XX wieku. Otworzyło to nowe pole nawiązywania kontaktów i współpracy z niepodległymi państwami. Między innymi wskutek tej współpracy Polska przyjmowała studentów z Afryki. Ich liczba w latach siedemdziesiątych sięgała już około 2 tysięcy osób. Jednak szerszy ich kontakt ze społeczeństwem polskim hamował dość znaczny dystans kulturowy. Po odbyciu studiów wracali do swoich krajów. Niekiedy wchodzili w związki małżeńskie z Polkami.

Inną jakościowo sytuację wytworzyła transformacja z 1989 roku. Polska zaczęła być traktowana jako kraj docelowy również przez afrykańskich imigrantów. Najwcześniejsza fala Afrykanów przybyła do Polski ze Związku Radzieckiego. Potem pojawili się przybysze bezpośrednio z kontynentu afrykańskiego. Uruchomiła się sieć migracyjna i doszło do powstania kilkutyśycznej grupy imigrantów o zróżnicowanym statusie prawnym.

Jeśli chodzi o osoby posiadające status zalegalizowany, to dane Narodowego Spisu Powszechnego z 2002 roku pokazywały, iż na terenie Polski zamieszkiwało przez co najmniej 12 miesięcy 2801 osób urodzonych w różnych państwach afrykańskich. Z liczby tej 1514 osób legitymowało się polskim obywatelstwem. Natomiast w kategorii osób przebywających w Polsce w momencie spisu krócej niż 12 miesięcy było 899¹ Afrykanów. Liczby te są z pewnością zaniżone, gdyż jedną z charakterystycznych cech imigracji afrykańskiej jest znaczny wśród niej odsetek nielegalnych przybyszów.

Imigranci bez legalnych dokumentów, stają się na ogół częścią 'nieformalnej gospodarki'. Zatrudniani nielegalnie są nie tylko potencjalnie narażeni na eksploatację przez pracodawców, ale bardzo szybko mogą znaleźć się w grupie osób objętych ekskluzją społeczną. Nie posiadając więzi z głównym nurtem społeczeństwa przyjmującego, grupy takie mogą łatwo się alienować. Jeśli jeszcze takim imigrantem jest Czarny, narażony na większą widoczność niż jego Biały imigrancki kolega, to zamknięcie się odmiennych rasowo we własnym środowisku jest wysoce prawdopodobne. Dlatego stopień widoczności w połączeniu z nielegalnym statusem mogą być ważną przesłanką sposobu akomodacji w kraju imigracyjnym.

Podstawą determinującą zachowania wobec Afrykanów jest zakres znajomości ich kultury. Natomiast wiedza na temat

Afrykanów mieszkających w Polsce jest raczej skromna. Dlatego nadal postrzega się ich jako egzotycznych cudzoziemców, którzy wzbudzają cały wachlarz emocji, począwszy od sympatii, ciekawości, a nawet akceptacji, do zakłopotania, niechęci, lęku bądź wrogości. Wciąż zdarzają się różne przejawy nietolerancji Polaków wobec Afrykanów, o podłożu rasistowskim. Prowadzi to do braku zaufania i niskiego poczucia bezpieczeństwa nowo przybyłych.

Nadal nie potrafimy pokonywać powielanych nieustannie stereotypów dotyczących ciemnoskórych. Zwłaszcza, że powstawały one w społeczeństwie, które praktycznie nie miało z nimi styczności. Trwałość nawyków myślenia nie jest osłabiana nowym zasobem wiadomości, wyniesionych np. ze szkół czy mediów. Badania młodzieży szkolnej potwierdziły, że odmiennosc Afrykanów postrzega się bardziej przez wygląd zewnętrzny niż odmiennosc kulturową. Konieczna jest zmiana języka służącego do opisu relacji między Czarnymi i Białymi.

Przez długie wieki postawy Polaków wobec Afryki i jej ludności związane były z przekonaniem o wyższości naszej kultury. I nawet, jeśli dotyczyło to tylko stosunkowo niewielkiej grupy społeczeństwa, to jednak część tych negatywnych obrazów Afryki przetrwała do czasów współczesnych i w różnych sytuacjach jest podstawą negatywnego wartościowania afrykańskich imigrantów w Polsce. Dlatego należałoby systematycznie rozbudowywać interdyscyplinarne zainteresowanie badawcze nowymi grupami migracyjnymi, tak aby uzyskiwane rezultaty szerzej docierały do instytucjonalnych decydentów. Nasza wiedza na temat zbiorowości Afrykanów w Polsce jest fragmentaryczna i najczęściej sprowadza się do drobnych artykułów w pracach zbiorowych. Mało rozpoznane są ich procesy adaptacyjne. Niedostrzeżenie faktu trudności akulturacyjnych (spowodowanych przez obie strony) może prowadzić do dezintegracji kulturowej i marginalizacji Afrykanów w Polsce. A zjawiska separacji kulturowej Afrykanów w Polsce należałoby unikać. Wypadałoby, przy okazji, bardziej wyczulać na bezrefleksyjne posługiwanie się pejoratywną kategorią „Murzyn”.

Istotne jest też, aby do dyskursów migracyjnych szerzej włączać studentów, gdyż można oczekiwać, że jako przyszli absolwenci, bez

względem na specjalizację, będą w swoim środowisku z większym zrozumieniem reagować na akty nietolerancji wobec *Innych*. Do takich inicjatyw należała zorganizowana ostatnio przez autorkę z grupą studentów IPSiR konferencja pt. *Czarni w Polsce: Widoczni czy niewidoczni? Jeśli widoczni w społecznym odbiorze, to jak? Jeśli niewidoczni w społecznej percepcji, to dlaczego?*²

Jak pokazała konferencja, Czarnoskórzy Afrykanie zdają sobie sprawę z trwałości negatywnych stereotypów w Polsce. Nie osłabił ich choćby fakt, że w barwach polskich klubów sportowych występowało po 1990 roku już kilkuset Afrykanów i wiele klubów odniosło dzięki nim sukcesy sportowe. Wręcz przeciwnie, znane są przypadki agresji na stadionach wobec Afrykanów. Liczne ekscesy wobec kolorowych (Czarnych) monitorują też organizacje pozarządowe, w tym Stowarzyszenie „Nigdy więcej” w ramach programu „Brunatna Księga”.

Wobec nasilania się cyrkulacji ludności w świecie, w tym w Unii Europejskiej, można przypuszczać, że wzrastać będzie w polskim społeczeństwie widoczność odmiennych rasowo obcych, do których należą zwłaszcza czarnoskórzy Afrykanie. Jeśli nie będziemy promować demokratycznej tolerancji, można się spodziewać, że czarnoskórzy nadal będą wywoływali w polskim społeczeństwie dość silne skojarzenia z *Różnicą*.

Tak więc, wyzwaniem wielokulturowości jest, aby działania edukacyjne oprócz zdobywania wiedzy, prowadziły do osławiania z odmiennością i zmiany postaw, jak również brania za nie większej odpowiedzialności. ■

¹ Migracje zagraniczne ludności, GUS, Warszawa 2003, s. 328.

² W grupie studentów znaleźli się: R. Bielecki, A. Błaszczewicz, E. Buczek, M. Czaputowicz, M. Czerniawska, M. Denejko, I. Korolczuk, J. Mieszkowska, K. Morzycka, J. Niemczyk, J. Nigierewicz, A. Roguska, J. Wichliński, E. Wiśniewska.

Dr Elżbieta Budakowska jest adiunktem w Instytucie Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji UW.

Ryby, rynki i globalne przepływy

Globalizacja w oczach antropologa

JERZY S. WASILEWSKI

■ Wydarzenia ostatnich miesięcy – światowy kryzys finansowy i pochodny wobec niego gospodarczy, wraz z ich nieuniknionymi konsekwencjami społecznymi – po raz kolejny uświadamiają, jak niewiele przesady jest w stwierdzeniach badaczy globalizacji, iż w ramach tego procesu to, co wczoraj wydarzyło się w Nowym Jorku, dziś odbija się na sytuacji Nowej Huty, a jutro wpłynie na życie na Nowej Gwincei. Siłą rzeczy takie groźne sytuacje mobilizują do refleksji nad tym, w jakiej proporcji pozostają pozytyw i negatyw tej dominującej tendencji współczesności. Przedstawiciele antropologii społecznej i kulturowej, podobnie jak innych nauk społecznych, debatują nad mechanizmami i efektami globalnych przepływów, powodujących zarówno homogenizację,

jak i zróżnicowanie, próbując dokonać bilansu zysków i strat, jaki proces ten powoduje w kulturach lokalnych.

Odczuwana przez nas wszystkich nieuchronność konsekwencji tych globalnych, ponadpaństwowych powiązań, ich szybkość i zasięg, nie mogą nie wywoływać także zwykłego ludzkiego zdumienia. Choć zjawiska składające się na globalizację są stare jak świat, to w pewnych okresach dziejowych nabierają one przyspieszenia; takim momentom towarzyszy wzrost świadomości tego faktu, co wyraża się w postaci lapidarnie trafnych konstatacji historycznych. To dlatego tak znajomo i aktualnie brzmią dla nas zapisane dwadzieścia dwa wieki temu słowa grecko-rzymskiego historyka Polibiusza, zdziwionego tym, że „przedtem rzeczy, które



Giełda rybna Tsukiji, fot. P. Janowski/AG

działy się na świecie, nie wiązały się ze sobą, teraz [tj. od powstania Imperium] wszystkie wydarzenia tworzą jedną wiązkę”.

Mnie osobiście, prowadzącemu od lat etnologiczne badania terenowe głównie na obszarze Mongolii, Syberii i Dalekiego Wschodu, utkwiło niegdyś w pamięci podobne sformułowanie, zapisane piórem innego dawnego historyka; spinało ono Europę i wschodnie krańce Azji w pewnej wymownej konkluzji. Oto Brytyjczyk Edward Gibbon, piszący w połowie XVIII wieku swą syntezę dziejów Europy aż po czasy nowożytne, *Zmierzch i upadek Cesarstwa Rzymskiego*, sięgnąwszy do pewnej staroangielskiej kroniki, znalazł w niej pod datą 1238 informację o tym, że na rynkach rybnych wschodniej Anglii panuje taki krach, iż za szylinga można kupić 50 śledzi, a wszystko to dlatego, gdyż w efekcie pogłosek o zbliżającym się najeździe Mongołów kupcy szwedzcy i fryzyjcy przestali wyprawiać się tu po ryby. Gibbon podsumował to słowami, wartymi cytowania i dzisiaj: „To dość zaskakujące, że rozkazy chana mongolskiego [był nim Hulagu], który panował gdzieś na granicy Chin, powodowały spadek cen śledzi na rynku angielskim”.

Można chyba powiedzieć, że akademickie pojmowanie globalnego charakteru zjawisk, w tym także etnologiczno/antropologiczna percepcja zjawisk kultury, układa się, podobnie jak świadomość potoczna, w linię amplitudy. W dziejach naszej nauki okresy, w których badacze koncentrowali się na zjawiskach kulturowych w geograficznej skali makro (koncepty dyfuzjonistyczne, zainteresowanie wędrownymi wynalazkami, importem treści i instytucji kultury) przeplatają się z okresami skupienia na zjawiskach lokalnych, na studiach monograficznych, na szukaniu i akcentowaniu raczej różnic niż podobieństw. Także w przypadku każdego pojedynczego badacza to nastawienie może się zmieniać. Etnolog potrafi przecież patrzeć na dane zjawisko społeczno-kulturowe na dwa sposoby: raz w skali mikro, z bliskiej perspektywy, widząc je jako produkt lokalnych oddziaływań, a innym razem – w szerokim planie, jako efekt ogólniejszych mechanizmów i powiązań, uwzględniając globalny wymiar zjawisk.

Ja sam dostrzegam, z perspektywy czasu, taką dwoistość własnego spojrzenia na pewną fascynującą instytucję japońskiej

kultury, jaką jest tokijska giełda rybna Tsukiji. Pewnie zresztą trzeba ją nazywać mega-giełdą, jest to bowiem moloch wielokrotnie większy od następnych na światowej liście takich rynków – w Nowym Jorku i w Paryżu. Nigdzie w Japonii nie widzi się lepiej niż tu, że jest to kraj po pierwsze – wyspiarski, po drugie – buddyjski (ta religia nie aprobuje przecież zabijania zwierząt, stąd znacznie mniejsze spożycie ich mięsa). Codziennie, jeszcze długo przed świtem i do wczesnych godzin dnia, uwija się tu bodaj trzydzieści tysięcy ludzi – kupujących, sprzedających, transportujących i przetwarzających towar, który jeszcze świeży musi znaleźć się w sklepikach, sushi barach, restauracjach, u ulicznych sprzedawców pudełek ze śniadaniem, a wreszcie w rękach gospodyń domowych i na talerzach milionów konsumentów tokijskiej aglomeracji i jej okolic. Wjeżdżają tu tysiące pojazdów dostawczych, przywożąc kilkaset, a może nawet parę tysięcy gatunków i odmian ryb i innych stworzeń morskich – od wielkich, zmrożonych do białości tuńczyków po małe muszki. Wszystko to musi tu zostać posortowane, wyeksponowane, rozmrożone, pocięte, porzpakowywane i znów zapakowywane, słowem na wiele sposobów przygotowane do wejścia na rynek. Można się tylko domyślać ogromu wiedzy kulturowej, technik i umiejętności, potrzebnych do ich złowienia, przechowania, transportu, marketingu, sprzedaży i kulinarnego przetworzenia.

Po raz pierwszy widziałem Tsukiji w 1984 roku, a więc na długo przed „globalizacyjnym ukąszeniem”, kiedy sam termin „globalizacja” nie był jeszcze w użyciu; w dwadzieścia lat później odwiedzałem ją parokrotnie, już świadom ważności globalnych powiązań. Były to dwa całkowicie różne sposoby patrzenia i zupełnie różne obrazy tego samego obiektu, mało przecież zmienionego mimo upływu czasu.

Kiedy dziś myślę o swoim spojrzeniu podczas tamtej pierwszej wizyty, chciałbym użyć zwrotu „oczy szeroko zamknięte”: rozszerzone ze zdziwienia na widok zjawiska bardzo japońskiego, nieczytelnego poza lokalnym kontekstem, nawet jakoś nie logicznego, a zarazem zamknięte – bo niedostrzegające biegnących daleko poza Japonię nici i powiązań, niewidzialnych dla kogoś niewtajemniczonego w ten hermetyczny, jakby się zdawało, mikrokosmos. Mam jeszcze ołówkowy zapis swoich obserwacji sprzed ćwierćwiecza, który tu z niezbędnymi korektami przedstawiam.

Enklawa wyizolowana od reszty świata, nawet tokijczycy niewiele o niej wiedzą; napisy zabraniają wstępu nieupoważnionym, szczęśliwie przybysz z Zachodu ich nie rozumie. Akcja zaczyna się, gdy miasto jeszcze śpi i nie chodzi nawet metro, zaś kończy się w porze śniadania. Licytacja przywiezionych w nocy tuńczyków z cenami wywoławczymi postępującymi w dół, a nie w górę; w wypadku ofert równej wysokości rozstrzyganie wyniku przez grę palców *jan-ken* (kamień-nożyce-papier, gdzie imitujący je układ dłoni dwóch rywali pozwala na ustalenie zwycięzcy: kamień pokonuje nożyce, te zwyciężają papier, ten z kolei pokonuje kamień, bo go może owinąć). Zupełnie nieczytelny dla cudzoziemca *gajina* system dystrybucji towaru, przechodzącego z rąk do rąk przez łańcuch kolejnych pośredników, brak widocznych cen, handel oparty chyba na osobistych, wieloletnich znajomościach. Ezoteryczna wiedza specjalistów, oceniających domniemaną jakość mięsa wielkiego tuńczyka, przeznaczonego przecież do surowej konsumpcji, jako *sushi* czy *sashimi*, przez postukiwanie hakiem w nadcięty u ogona przekrój zamrożonej na kość sztuki. Waga przykładana do perfekcyjnej formy (*kata*), sposobu złowienia i przetransportowania bez uszkodzeń. Szaleństwo aukcjonerów, wpadających w ekstazę przy błyskawicznym recytowaniu – wręcz terkotaniu – formulek, zachęcających do aukcji, na poły wykrzykiwanych, na poły śpiewanych (w indywidualnych stylach, innych u każdego aukcjonera), i tak czytelnych tylko dla kilku licencjonowanych uczestników: zachowanie podobne raczej do toków głuszcza czy cietrzewia – zamknięte,

ślepe na wszystko oczy, cały wysiłek idzie w śpiew, nieledwie transowy, narzucający nabywcom odwagę w hazardzie, jakim jest kupno ryby, o której cała prawda (to, czy będzie z niej znakomite sushi czy nie) wyjdzie na jaw dopiero po transakcji. A jednocześnie pełne panowanie nad zebraną grupką, całkowita przytomność konieczna do zanotowania niezauważalnych dla mnie znaków, dawanych przez nabywców – jakichś kiwnięć i mrugnięć, wyrażających oferty. Astronomiczne ceny egzemplarzy doskonałych i niewiarygodne tempo: sprzedaż jednej sztuki, wartą parę milionów jenów, trwa przeciętnie sześć sekund. Mija minuta – i kolejny rząd leżących pokotem, białych od szronu kadłubowatych tuńczyków jest sprzedany, aukcjoner przenosi do następnego swój mały stołeczek, pomalowany na czerwono, taki sam, jak ten, co kiedyś na lokalnych targach był atrybutem handlarza ryb. Mija jeszcze parę minut – tyle trwa przejście przez kilka rzędów, znakowanych kolejno jako sprzedane – i wszystko znika, rozprasza się, rozsypuje, przechodząc do dalszych działań tego niepojętego łańcucha. Tłok przy transporcie setek, tysięcy skrzynek, wypełnionych wszystkimi możliwymi produktami morza, w większości znanymi tylko Japończykom i tylko przez nich zżadanymi. Hałas przejeżdżających jeden przed drugim wózków widłowych – a przecież nikt na nikogo nie wpada, nie potrąca, nie trąca. Wszyscy pracują ciężko, szybko, bezbłędnie. Oaza japońskości, w której ruchy długim nożem przy porcjowaniu rozmrożonych rybich kłoców wykonywane są w takim skupieniu, że swoją precyzją dorównują chyba cięciom *katany* w rękach samuraja.

Tyle zapisków sprzed lat. Teraz muszę wprowadzić do tego obrazu powiew zewnętrżności, której przed ćwierć wiekiem nie byłem zupełnie świadom. Bo choć teren Tsukiji ma coś w rodzaju nadbrzeża, to przecież sprzedawane towary nie przypływają tu wcale na rybackich kutrach, pływających gdzieś u brzegów Japonii. Przyjeżdżają ciężarówkami, i to nierzadko z lotniska Narita, pochodzą bowiem z łowisk dalekomorskich. To nowoczesny system połączeń transkontynentalnych, w tym transportu lotniczego, sprawia że na rynku sprzedawane są tuńczyki z wód wokół Sycylii, Nowej Anglii albo Nowej Zelandii, kraby z Sachalinu, węgorze z Morza Południowo-Chińskiego, ośmiornice z Zatoki Gwinejskiej, kosztowne ślimaki morskie z Kalifornii, dorsze z Alaski, a nawet – w tej peryferyjnej części giełdy, gdzie piętrzą się wszystkie możliwe przybory kuchenne – pałeczki z Polski.

Antropolog patrzący dzisiaj na taką koncentrację globalnych przepływów uświadamia sobie, że ma do czynienia z uchem igielnym, przez które przeciska się światowy strumień globalizacyjny. Po bliższym poznaniu tej instytucji (a może to robić także przez Internet...) wie też, że sama giełda bardziej niż owocem japońskiej tradycji jest efektem administracyjnego projektu kontrolowanej dystrybucji, wzorowanego na rozwiązaniach europejskich, łącznie z architekturą budynków i samą ideą licytacji (tym bardziej nie jest miejscową specyfiką aukcja „w dół”, zwana przecież „holenderską”). W osobie aukcjонера badacz nie doszukuje się już kontynuatora tradycji dawnych sprzedawców, dostrzegając w nim raczej „operatora globalizacji”, który dzięki nieustannemu kontaktowi z reprezentantami handlowymi jego firmy maklerskiej na całym świecie zna tendencje cenowe i może najkorzystniej kształtować przebieg aukcji.

A jednocześnie, w przeciwną stronę, tokijska giełda określa ceny na światowych rynkach rybnych. Dzieje się tak zwłaszcza w odniesieniu do tuńczyków, których Japonia jest nie tylko wiodącym konsumentem, ale też re-eksporterem, dosłownie i w przenośni. Światowa popularność japońskiej kuchni sprawia, że to japońskie wzory konsumpcji, wiedza kulinarna i gastronomiczny kapitał kulturowy dyktują światowy popyt na określone składniki. Szanujące się restauracje japońskie w zachodnich metropoliach nie ośmielą się kupić na miejscowym rynku tuńczyka wyłowionego u ich własnych brzegów – ten tuńczyk poleci



Licytacja na giełdzie Tsukiji, fot. P. Janowski/AG

najpierw do Tokio, przejdzie przez Tsukiji, tu zostanie należycie pokrojony, i tak dopiero, wzbogacony o całą japońską wiedzę kulturową, drogą lotniczą trafi znowu do metropolii.

A to przecież tylko końcówka procesu swoistej japonizacji, który zaczyna się znacznie wcześniej, na etapie produkcji czyli pozyskiwania surowca. Połów tuńczyka jest to procedura, która na Morzu Śródziemnym, np. na Sycylii, odbywa się według kilkusetletniej tradycji, sięgającej jeszcze do wzorów arabskich. *Mattanza* to krwawe polowanie na stado, które wpływa w system przemysłnie zastawionych długich sieci, kończących się pułapką, *camera del muorte*. Tam, przy akompaniamencie pieśni religijnych, przyrównujących śmierć tuńczyka do męczeństwa Chrystusa, nurkowie ciosami sztyletów uśmiercają stłoczone sztuki w dramatycznej walce. I tu właśnie jest miejsce na japońską interwencję: by w trakcie rzezi na korpusie nie pozostały rany i ślady, które obniżą wartość mięsa, japoński rezydent nadzoruje przebieg akcji, kontrolując stan pozyskanej zdobyczy i telefonicznie konsultując cenę zakupu z centralą w Tsukiji.

To chyba koronny przykład wielości poziomów, na jakich mogą odbywać się globalizacyjne przepływy: miejsca produkcji oddalone są od rynku o tysiące kilometrów, mają swe własne sposoby połowu, a tymczasem ów odległy rynek będzie modyfikował dawne tradycje, kontrolując owe techniki i dostosowując je do własnych standardów. Odnosząc to spostrzeżenie o zwrotności globalnych przepływów do przywoływanej na wstępie anegdoty historycznej na temat cen angielskich ryb, zaryzykuję na koniec taką oto konkluzję: gdyby w średniowieczu działały te same dwukierunkowe mechanizmy, co w przypadku dzisiejszej globalizacji, to ów brytyjski historyk mógłby się dziwić nie tylko temu, że pochody wojsk mongolskich chanów określały ceny śledzi na rynku angielskim, ale też – i to jeszcze bardziej – temu, że ceny śledzi w Anglii wpływały na ruchy mongolskich wojsk.

Tak to w każdym razie wygląda w dzisiejszym zglobalizowanym świecie. ■

Prof. dr hab. Jerzy S. Wasilewski jest kierownikiem Zakładu Etnologii Pozaeuropejskiej i Globalistyki IEIAK UW.

Mursi i ich krążki wargowe

MACIEJ ZĄBEK

■ Stara wizja Afryki, wspaniałych krajobrazów, dzikich zwierząt i „tubylców nieskażonych cywilizacją” od lat kilkunastu ponownie stała się siłą napędową ruchu turystycznego na ten kontynent. Szczególnie charakterystyczny dla świata zachodniego jest ten ostatni rodzaj fascynacji. Coraz więcej zwykłych mieszkańców Zachodu swoje dwutygodniowe wakacje poświęca na podróż do „prawdziwych dzikich” w zasadzie wyłącznie po to, aby zrobić zdjęcia, kupić pamiątki i móc je później pokazywać znajomym. Naprzeciw tej potrzebie wychodzą coraz bardziej rozwijające się usługi turystyczne w różnych krajach afrykańskich a także sami „dzicy”, którzy zamiast polowaniami na zwierzyne zajmują się pozowaniem do zdjęć, sprzedają pamiątek i opowiadaniem w prawie nienagannej angielszczyźnie o swoich dziwnych obyczajach.

Oczywiście nie dotyczy to wszystkich mieszkańców „czarnego” kontynentu, lecz tylko tych, którzy zachowali do naszych czasów, z punktu widzenia przeciętnego Białego, odpowiednio fotogeniczny wygląd. Jednymi z najbardziej sławnych są Mursi z Doliny Omo w Etiopii. Obok Masajów z Kenii, Buszmenów z Botswany, Pigmejów z Ugandy i Dogonów z Mali należą ostatnio w Afryce do najczęściej fotografowanych „obiektów”. Dla antropologów zajmujących się badaniem kultury zarówno tej tradycyjnej, jak i współczesnej, te wzajemne relacje tubylców i fotografujących ich turystów mogą być tematem niezwykle interesującym. Kierując się tą motywacją od kilku lat przy okazji wyjazdów badawczych do Kenii, Etiopii czy Mali staram się więc poświęcić trochę czasu, także i temu zagadnieniu, wcielać się z jednej strony w rolę turysty, z drugiej jednak pozostając badaczem.

Z dotarciem do wspomnianych „dzikich” zazwyczaj nie ma większych problemów. Prawie w każdym hotelu w stolicy Etiopii, gdzie zatrzymują się turyści, spotkamy naganiaczy, którzy proponują nam wycieczki do różnych miejsc tego rzeczywiście bogatego w atrakcje kraju. Jedną z nich będzie właśnie podróż do Mursi, jednej z ostatnich grup w Afryce, w której normą jest noszenie przez kobiety dużych, glinianych lub drewnianych krążków umiejscowionych w dolnych wargach. To właśnie krążki wargowe są u Mursi najbardziej dostrzegalną różnicą reklamowaną w literaturze promującej przemysł turystyczny, jako dowód ich „typowej plemienności nieskażonej współczesną cywilizacją”. Oni sami ukazywani są jako „ostatni dzicy w Afryce”. Z tego powodu figurują zwykle na szczycie listy rzeczy „koniecznych do zobaczenia”.

Kiedy dziewczynka Mursi zaczyna dojrzewać, matka przebija jej dolną wargę i w powstały otwór wsadza na początku drewnianą zatyczkę o średnicy 1 centymetra. Następnie stopniowo rozciąga się wargę, wymieniając sukcesywnie owe zatyczki na coraz większe. Później wsadza mały krążek o średnicy najpierw 7, potem 8 a wreszcie 12 centymetrów. Dziewczynka zyskuje w ten sposób nową tożsamość, staje się kobietą. Krążek jest symbolem płodności, kobiecości i bycia Mursi. Turyści na ogół nic o tym nie wiedzą. W kolorowych albumach, folderach i artykułach podróżniczych tłumaczy się ten zwyczaj tym, że była to forma celowego oszpecenia kobiet, aby uczynić je mniej atrakcyjnymi dla handlarzy niewolników. Jak mogłem się przekonać na miejscu, sami Mursi nic nie wiedzą o tej teorii i nie uważają bynajmniej, że nosząc krążki, ich



Kobieta Mursi, fot. M. Ząbek

kobiety tracą na urodzie. Pogląd ten mówi nam raczej więcej o jego twórcach, niż o samych Mursi. Takie wyjaśnienie mogło przyjść do głowy tylko Europejczykowi uważającym, że wszystkie ideały piękna muszą wywodzić się z platońskiego ideału kobiety.

Kobieta Mursi zapytana o przyczynę noszenia krążka odpowie po prostu, że „taki jest nasz zwyczaj”. Naciskana doda, że noszenie krążka sprawia, że jest uznana za dorosłą, jak jej matka a poza tym krowy dają wówczas więcej mleka. Mężczyzna natomiast powie, że miło jest popatrzeć, jak jego żona nosząc krążek przynosi mu posiłek z sorgo. Dziewczyna, która nie nosi krążka może zostać uznana za wariatkę albo pomyłoną z Ngidini (Kwengu) (sąsiadująca z Mursi grupa myśliwych w dolinie Omo). Nikt jej także nie poślubi. Krążków kobiety nie noszą bez przerwy. Mąż jednak może zbić batem swoją żonę, jeśli ta nie nosiłaby go wtedy, gdy podaje mu jedzenie, wodę lub podczas ważnych rytualnych wydarzeń, jak ceremonie zawarcia małżeństwa, tańce czy pojedynki. Krążek



Wioska Mursi, fot. M. Ząbek

symbolizuje oddanie wobec męża i dopiero po jego śmierci, kobiety wyrzucają go i już nigdy więcej nie wkładają.

Wiele ludów w Afryce w przeszłości miało podobne zwyczaje, ale porzuciły je pod wpływem nacisków ze strony kolonizatorów europejskich wierzących w swą misję cywilizacyjną. W przypadku Mursi kolonizatorami byli i są Etiopczycy (Amharowie i Tigrajczycy), którzy stosunkowo późno rozpoczęli akcję uświadamiania ich o barbarzyńskim charakterze takich obyczajów. W zasadzie dopiero od czasów komunistycznych rządów Mengistu Haile Mariama (1975–1991) urzędnicy rozpoczęli akcję wbijania im do głów wiedzy o tym, że krążki wargowe, rozciągnięte płyty uszne, ogolone głowy i chodzenie w skórach są znakiem zacofania, a aby mogli się „rozwinąć” obyczaje te powinny zniknąć. Posuwano się nawet do tego, że policjanci, każdej dziewczynie, którą przyłapali w mieście z krążkiem, dla przykładu odcinali dolną wargę, aby już nigdy nie mogła go założyć. Dziś tego nie robią, ale sama akcja jest kontynuowana, choć już bez większego przekonania. Nastąpiły więc pewne zmiany. Z jednej strony mężczyźni Mursi, gdy udają się do pobliskich sklepów zakładają dzinsy, koszulki i okulary przeciwsłoneczne, a niektóre kobiety zdejmują krążki i wkładają spódnice zamiast skór. Ci, którzy przyjęli chrześcijaństwo wyznają nawet, że woleliby ożenić się z dziewczyną bez krążka, bo nie podoba im się, jak ślina ścieka im po podbródku. Z drugiej jednak strony pojawili się turyści, którzy przywożą pieniądze, ale w zamian chcą fotografować Mursi w skórach i z krążkami. Krążki stały się więc ekonomicznym atutem kobiet Mursi. Mimo starań etiopskich urzędników, krążki w dalszym ciągu są noszone i to jak największe, bo te są najczęściej fotografowane a kobiety które je noszą zarabiają najwięcej pieniędzy. Miejscowi mężczyźni powiadają: „jeśli twoja kobieta ma naprawdę duży krążek, to możesz mieć tyle krów (symbol zamożności) ile zechcesz”.

Mursi, z jednej strony oczekują turystów a ich gospodarka jest coraz bardziej uzależniona od ich pieniędzy. Za każdą fotografię (pstryknięcie migawką) oczekują dwóch etiopskich birrów (mniej niż 50 groszy). Przy okazji zarabia również państwo, bo pobiera około stu dolarów za wjazd na teren Parku Narodowego Mago, gdzie Mursi mieszkają. Spełniają oni zwykle oczekiwania turystów, żeby wyglądać dostatecznie dziwnie. Czasami konkurując ze sobą, wyraźnie przesadzają, chodzą na szczudłach, na rękach, przybierają dziwaczne pozy, wkładają sobie na głowy stalowe łańcuchy i inne

przedmioty, których nigdy nie nosili, robiąc wszystko, aby przyciągnąć uwagę turysty z kamerą. Jadąc przez kraj Mursi wielokrotnie mogliśmy obserwować tego typu sceny. Mimo to, wyczekiwanie w napięciu przez obie strony kontakt jest mało satysfakcjonujący, ponieważ z drugiej strony Mursi robią wszystko, aby obcych do siebie zniechęcić.

W Masaj Mara w Kenii po uiszczeniu opłaty za wstęp do wioski, mogłem przynajmniej na chwilę spocząć w jednej z chat przeznaczonych do zwiedzania, napić się miejscowego piwa z prosa i wysłuchać opowieści o zwyczajach Masajów. Dogoni z Bandiagara w ogóle nie pobierają żadnych opłat za wstęp do swych wiosek. Zarabiają tylko

na sprzedaży pamiątek, piwa i prowadzeniu campingów. Z jednym i drugim turysta może, jeśli tylko chce, „normalnie porozmawiać”. Ale nie z Mursi! W przeciwieństwie do innych „tubylców turystycznych” Mursi nawet nie udają, że są gościnni. Są napastliwi, nieprzyjemni i wyraźnie agresywni. Uzbrojeni w karabiny Kalasznikowa kierują ich lufy w stronę turystów, krzyczą, każą robić sobie zdjęcia i płacić po dwa birry, wytwarzając niesamowity przy tym harmider. Turyści po wybraniu „okazów” do sfotografowania lub sfilmowania już po 10–15 minutach mają ich serdecznie dość. Kupują w pośpiechu owe krążki i z kilkoma podłej jakości fotkami uciekają w przerażeniu do swoich samochodów, blokując drzwi, zasuwając szczelnie okna i wyruszając z powrotem w trzydniową drogę do Addis Abeby.

Spotkanie turystów z Mursi jest więc bardziej konfrontacją niż kontraktem społecznym. Turyści przyjechali tu bowiem tak naprawdę dla doznania specyficznej przyjemności przeżycia poczucia swej wyższości technologicznej i moralnej zarazem. Tymczasem Mursi nie dają im bynajmniej pełnej satysfakcji. Wiedzą bowiem, że turyści fotografują ich nie dlatego, że szanują ich zwyczaje i chcieliby ich naśladować, ani nie dla ich krów, czy różnych obrzędów i ceremonii, ale wyłącznie dla ich ciał i krążków, i tylko dlatego, że są dla nich symbolem zacofania, dzikości i pierwotności. Stąd odgrywane przez nich przedstawienie, w którym jednocześnie chcą i nie chcą się fotografować, przypomina zachowanie prostytutek, w którym usiłują one ocalić dla siebie trochę godności i szacunku, poprzez po pierwsze wyciągnięcie od klienta jak najwięcej pieniędzy, a po drugie danie mu do zrozumienia, że to tylko transakcja rynkowa. Obserwując ponure twarze Mursi w czasie robienia im zdjęć miałem wrażenie, że są oni bardziej świadomi grabieżczej natury zwyczaju fotografowania, niż inne plemiona turystyczne. Białych zresztą z reguły nazywają złodziejami, gdyż jak mówią: „wciskają im jakiś banknot, robią dużo zdjęć, wsiadają w swoje samochody i uciekają”. Zdaje się, że podzielają zdanie Susan Sontag, że turyści fotografując, zamieniają ludzi w przedmioty, tak, że stają się symbolicznie w ich posiadaniu.

Dr hab. Maciej Ząbek jest adiunktem w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UW.

Od Kaziuków do Werbowej Niedzieli

Obrazki etnograficzne

LECH MRÓZ

■ Dzień św. Kazimierza, 4 marca, sygnalizuje mieszkańcom Wileńszczyzny zbliżającą się Wielkanoc. W starej części miasta, przy kościołach i na ulicach stoją sprzedawcy wielkanocnych palm. Miejscem, gdzie tradycyjnie widać najwięcej sprzedających Kaziukowe palmy, jest Rynek Kalwaryjski. Kaziuki, które starszym mieszkańcom miasta i przedwojennym Wilniukom jednoznacznie kojarzą się z tradycją polską, stały się teraz świętem litewskim i również litewscy mieszkańcy okolic Wilna zaczęli robić palmy. Nie tylko tutejsi Polacy twierdzą, że są one inne, nie takie ładne i nie tak starannie wykonane. Ta odmienność estetyki, czasami dziwaczność formy wskazują na brak wzorca i nieumiejętność lub świadomą chęć uniknięcia naśladownictwa. Albo też na kształtowanie się nowej mody i odmiennego kanonu estetycznego.

Ponieważ wileńskie Kaziuki zostały nie tyle upamiętnione, ile zlituanizowane, tutejsi Polacy organizują kaziukowy jarmark także w Niemenczyźnie – miejscowości będącej wraz z okolicami znacznym skupiskiem Polaków. Tak jak na Rynku Kalwaryjskim można w Niemenczyźnie, prócz palm, nadal jeszcze kupić wyroby koszykarskie i bednarskie, końskie uprząże i produkty rolnicze oraz mięso z własnej hodowli.

Kaziukowe palmy były i są wyróżnikiem wileńskich Polaków; nie tylko na Litwie. W Warszawie nie ma tradycji kaziukowej, ale zwykle przed Palmową Niedzielą niedaleko Placu Zamkowego, a czasami także w innych dzielnicach miasta, odbywają się kiermasze, podczas których twórczynie z Wileńszczyzny sprzedają swoje wyroby. Kiedy przychodzi Palmowa Niedziela a na ulicach czy przed kościołami pojawiają się stragany z palmami, łatwo zauważyć jak bardzo na ich kształt i kolorystykę wywarły wpływ te przywożone przez wileńskie palmiarki. W miejscowej tradycji palmy zwykle robiono z gałązek wierzbowych z baziąmi, z dodatkiem bukszpanu, czasami ziół, czy trzciny. Teraz wiele palm podobnych jest do tych wileńskich; choć tylko podobnych – nie są tak bogate kolorami, kształtem, wykonaniem.

Mieszkańcy niektórych podwileńskich wiosek od pokoleń wyrabiali wielkanocne palmy – najbardziej znane są z ich wyrobu Krawczuny. W ogródkach i na polach hodowane są rozmaite rośliny używane do wyrobu palm; ususzone, czasami jeszcze barwione, wiszą w stodółkach i domostwach jako surowiec. Wyrób palm dla niektórych gospodyń jest zajęciem przynoszącym spory dochód, a umiejętność ich wyrobu w wielu rodzinach trwa od kilku pokoleń. Niektóre wzory związane są z określonymi rodzinami, a maestria wykonania pozwala palmiarkom od razu powiedzieć, kto jest wykonawcą. Kilka tygodni przed 4 marca rozpoczyna się intensywna praca nad przygotowaniem odpowiedniej liczby



Kaziukowe palmy, fot. L. Mróz

rozmaitych palm. Kupowane w dniu św. Kazimierza przynoszone są do świątyni dopiero w dzień Palmowej Niedzieli i poświęcone. Dla przybysza z Polski ten las wielobarwnych palm, o rozmaitych formach, wielkości, kolorystyce robi wrażenie czasu zatrzymanego, obrazka z zapomnianej przeszłości. Nie twarze, nie ubiory – często podobne, ale właśnie palmy są oznaką niezwykłego dnia w roku obrzędowym wileńskich Polaków.

Na obszarach niegdyś wchodzących w skład Rzeczypospolitej świętowano często dwukrotnie. Szczególnie kiedy rodzina była mieszana wyznaniowo lub gdy sąsiadowali ze sobą rzymskokatolicy i wyznawcy prawosławia lub grekokatolicy. Jedni posługują się kalendarzem gregoriańskim, drudzy juliańskim. Święta Bożego Narodzenia dzieli zawsze taka sama liczba dni; inaczej jest z Wielkanocą. Niekiedy terminy pokrywają się, najczęściej święta w obrządku wschodnim wypadają kilka tygodni później. W tym roku, gdy rzymskokatolicy świętowali już będą Wielkanoc, wyznawcy obrządku wschodniego dopiero Palmową – Werbową Niedzielę.

Tak jak na Wileńszczyźnie zainteresowaniem przybyszów cieszą się kaziukowe palmy, tak w piątek i sobotę przed Werbową Niedzielą uwagę przyciągają pisanki, jakie pojawiają się na targach, a szczególnie w Zabłotowie i Kosowie. Kaziukowe palmy są często wyrafinowanymi dziełami twórczości i poczucia estetyki miesz-

kańców podwileńskich wiosek. Równie wyrefinowanymi dziełami są pisanki sprzedawane na kosowskim czy zabłotowskim jarmarku.

Na przedwielkanocne jarmarki przyjeżdżają mieszkańcy wielu okolicznych wsi i miasteczek. Mnogość kramów z jedzeniem, z najrozmaitszymi towarami gromadzi tłumy; można także zaopatrzyć się w produkty rolnicze, są handlarze bydła i koni. Na pokuckich i huculskich jarmarkach zawsze jeszcze są obecne wyroby miejscowego rękodzieła. Kobiety przybyłe z górskich wiosek oferują grube skarpety z owczej wełny, lyżnyki – wełniane kapy i narzuty na łóżko, najczęściej w barwach biało-szarych, naturalnym kolorze tutejszych owiec. Są sprzedawcy miodu i grzybów oraz przywiezionej z gór w drewnianych beczułkach bryndzy – która ma tutaj inną konsystencję niż ta, którą znamy z naszych gór.

Są także sprzedawcy pisane. Kolorystyka tych małych cacek o finezyjnym często rysunku, zadziwia bogactwem wzorów – mających odrębne nazwy i zachowaną od pokoleń postać. Bezkoneczny, sorok klin-ciw, Oresty – to tylko kilka z wielkiej różnorodności wzorów; są pisanki z cerkwią, ze zwierzętami – rybami, koziołkami, z napisem *Christos Wskres*. Pisanki z poszczególnych wiosek i regionów różnią się kolorystyką i wzorami. Nie jest trudno odróżnić te pokuckie od huculskich czy bukowińskich. Wzory i barwy trwają, pozornie niezmiennie od pokoleń. Jednak na przestrzeni tylko kilku lat zauważyć się daje, że i tu docierają nowe trendy estetyczne. Zaczęły pojawiać się pisanki obsypane brokatowym pyłem, woskowane, lakierowane – to produkcja zazwyczaj miejskich twórców.

Miejscowi kupują niewiele, zwykle po kilka sztuk pisane. Co innego „panowie z miasta” – ukraińska inteligencja ze Lwowa, czy przybysze z Polski. Ci kupują znaczne ilości, dla krewnych, znajomych. Trudno im oprzeć się pokusie kupienia tych małych dzieł sztuki. Zastanawiałem się niejednokrotnie nad trwałością tego elementu tutejszej kultury i opłacalnością sztuki pisankarskiej, skoro cena pisanki jest niewiele wyższa od ceny surowego jajka.



Kapliczka na Pokuciu, fot. L. Mróz

nej, znaczna część uczestniczących w liturgii miała na sobie wyszywane kożuszki – serdaki. Choć podobnego kroju, różniły się kolorem i wzorami haftów. Gdy dwa czy trzy lata później obserwowałem wychodzących z cerkwi, w tych samych miejscowościach, zauważalne było, że dokonana się estetyczna rewolucja. Ubiorem kobiet i mężczyzn była czarna skórzana kurtka lub płaszcz, niemal nieróżniące się, niezależnie od płci osoby noszącej ów strój. Ten masowy wyrób, prawdopodobnie sprowadzany z Turcji, stał się estetycznym kanonem odświętnego ubioru huculskiego. Drewniane cerkwie, na których urodę, walory architektoniczne i mistrzostwo wykonania, zwracali uwagę podróżujący w XIX w. i w latach międzywojennych, skryły się pod błyszczącą blachą, ukrywając swoje indywidualne cechy pod zuniformizowanym, jednakowym, blaszanym garniturem. Choć nadal spotkać można drewniane krzyże i kapliczki, i zachowany jeszcze styl architektury drewnianej.

W trakcie badań terenowych, podróży wynikających z zawodu etnologa, zwracamy szczególną uwagę na to, co w zunifikowanym w znacznym stopniu świecie jest elementem różniącym, swoistym emblematem miejscowej społeczności i jej kultury. Te dwa krótkie opisy, świadomie utrzymane są w stylistyce dawnych refleksji i obrazków, jakich wiele znajdujemy w literaturze etnograficznej, i takich, jakie zwykle rejestruje turysta. Jest to po prostu przypomnienie, zwrócenie uwagi na przyciągające wzrok swoim niezwykle charakterem cechy kulturowe, jakie nadal żywe są na Wileńszczyźnie, na Pokuciu i Huculszczyźnie. Zwrócenie uwagi na szczególny czas, jakim jest okres poprzedzający Wielkanoc zarówno w kulturze chłopskiej wyznawców kościoła katolickiego, jak i dla tych, dla których cerkwie i obrządek wschodni są naturalnym kontekstem życia.



Procesja przed cerkwią, Werbowia Niedziela, fot. L. Mróz

Prof. dr hab. Lech Mróz jest dyrektorem Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UW.

Narracje historyczne w postkolonialnej Syberii

ŁUKASZ SMYRSKI

■ Przemiany kulturowe zachodzące wśród „rdzennych” mieszkańców Syberii możemy odnieść do globalnego procesu dekolonizacji. W dyskursie publicznym i w sferze ekonomicznej głęsi przedstawicieli społeczeństw syberyjskich są nadal marginalizowane, a kwestia rozwoju kultur etnicznych lekceważona. Mimo aspiracji politycznych działaczy „narodów rdzennych”, w polityce rosyjskiej widoczna jest postawa państwowego paternacjonalizmu wobec społeczeństw „autochtonicznych” Syberii. Sytuacja w północnej Azji wpisuje się w ogólnoswiatowy trend relacji kolonialnej zależności. Dzięki specyficznemu kolonialnemu dyskursowi, społeczeństwa kolonizowane przedstawia się jako „słabsze”. Leela Gandhi, prowadząca studia nad teoriami postkolonialnymi dowodziła, że narracja nacjonalistyczna państw kolonialnych wiąże się ściśle z „męskością” i stereotypem męczyzny rozpowszechnionym w Europie. Z takim wizerunkiem utożsamiali się kolonizatorzy, odmawiając podbijanym społecznościom, przedstawianym jako „kobiety” i „dziecięce”, cech męskich. Ideologiczną metodą kolonizowania społeczeństw nieeuropejskich było klasyfikowanie ludów podbitych jako słabszych wobec nowych dominatorów sprawujących władzę. Skutecznym argumentem było ukazanie analogii do słabszej płci pozostającej pod dominacją męczyzn. Tym samym polityczni, narodowi giganci odmawiali „małym” narodom prawa do posiadania kultury narodowej, wychodząc z założenia, że coś co jest „małe” i „nie-dojrzałe”, nie może dysponować prawami, które posiadają cywilizowane społeczeństwa (Thompson 2000, s. 10). Podobny styl narracji występuje także w dokumentach rosyjskich określających kierunki polityki narodowościowej. Potwierdzeniem kolonialnego układu są nie tylko wypowiedzi o wyższości cywilizacyjnej Rosjan i rosyjskiej misji na Syberii, ale także współczesne sformułowania prawne, w których podkreśla się przestrzenną peryferyjność społeczeństw syberyjskich w stosunku do stolicy państwa oraz ich niewielkie liczebne rozmiary. Jako przykład mogą podać status niewielkich turekojęzycznych grup Todżyńczyków, Kumandyńczyków czy Teleutów mieszkających na południowych rubieżach Syberii, określanych w dokumentach legislacyjnych jako „małe narody Północy”.

W takiej sytuacji dla polityków i liderów etnicznych społeczeństw syberyjskich szczególnego znaczenia nabrała potrzeba zmiany tego rodzaju dyskursu kolonialnego. „Dla dawnej kolonii dekolonizacja to dialog z kolonialną przeszłością, a nie po prostu demontaż kolonialnych zwyczajów” (Appadurai 2005, s. 133). Trudno nazwać Syberię „dawną kolonią” – jest nią cały czas. Obserwując współczesne relacje władzy w azjatyckiej części Rosji (Altaju, Chakasji, Tuwie, Buriacji czy w Jakucji) nie mam wątpliwości, że są one charakterystyczne dla układu metropolia/kolonia. Jednak w konstytucji rosyjskiej i w konstytucjach poszczególnych republik, jednostki autonomiczne określa się jako suwerenne państwa stanowiące federację. Wraz z uzyskaniem

szerokiej autonomii, liderzy etniczni społeczeństw syberyjskich stanęli przed koniecznością podjęcia takiego dialogu.

Szukanie przodków w odległej historii jest chyba najbardziej rozpowszechnioną praktyką związaną z budowaniem genealogii i historii narodowych. Dotyczy to również republik azjatyckiej części Rosji. Opracowanie nowej wizji historii narodowej, przełamującej kolonialny dyskurs polityki rosyjskiej/radzieckiej, przyczynia się do wyznaczenia wyobrażonych granic symbolicznych wspólnot narodowych. Warto pamiętać, że w republikach syberyjskich tego rodzaju działania, wychodzą nie tylko poza intelektualny aspekt budowania mitologii narodowej, ale stają się także praktyczną kategorią wpływającą na indywidualne identyfikacje ludzi. W analizowaniu konstruktywistycznego sposobu budowania współczesnych narodów na Syberii, wyjątkowo aktualna wydaje się koncepcja etniczności Maxa Webera (1996), w której kluczową rolę odgrywa wiara uczestników wspólnoty etnicznej we wspólne pochodzenie. To właśnie wiara we wspólną historię stała się ważnym katalizatorem budowania więzi narodowej w społeczeństwach republik południowej Syberii.

Animatoryzy ruchów narodowych w Azji północnej, w ramach dialogu z kolonialną przeszłością, konfigurują znaki tożsamości, które składają się na „narodowe” uniwersum symboliczne. W konstruowaniu symbolicznych granic, historycy, etnografowie, archeologowie oraz pracownicy środków masowego przekazu, odwołują się do wybranych wydarzeń historycznych, selekcionują elementy kultury „tradycyjnej”, religii, filozofii, przepuszczając je przez filtr własnej zideologizowanej wizji historycznej. Humanisci syberyjscy tworzą ramy, kompleks mitologiczno-symboliczny, który wypełniają faktami historycznymi, upowszechniając tym samym określoną wizję historii narodowej. W Altaju i w Chakasji, do czasów niemal współczesnych nie istniała wśród ludzi świadomość wspólnoty historycznej w rozumieniu „historii europejskiej”. Przedstawiciele inteligencji stanęli więc przed koniecznością stworzenia jednej historii Altajczyków czy Chakasów, która obejmie wspólne losy poszczególnych grup. Historię taką musi legitymizować jak najwięcej dat i wydarzeń. Dla syberyjskich historyków ważne jest, aby wydarzenia te można było potwierdzić źródłami pisanymi bądź archeologicznymi.

Historycy syberyjscy w poszukiwaniu początków swojego narodu sięgają do wydarzeń najdawniejszych. Dlatego, tworząc wizję historii narodowej, odwołują się do archeologii, a znaleziska często interpretują w kategoriach kultury etnicznej. Wykopalska archeologiczne stały się niezmiernie pomocne w budowaniu kultury symbolicznej. Pełnią jednak rolę ambiwalentną. Z jednej strony stanowią cenne źródło wiedzy potwierdzające starożytność kultur występujących na obszarach Altaju, Chakasji i Tuwy. Z drugiej jednak strony wielu ludzi traktuje kości złożone w kurhanach jako doczesne szczątki swoich biologicznych przodków, którym nie należy odbierać szacunku przez prowadze-



Ujeżdżanie koni to wciąż codzienność wielu mieszkańców Altaju i Sajanów,
fot. Ł. Smyrski

nie prac wykopaliskowych. Dochodzi do tego jeszcze jeden niezmiernie ważny aspekt: politycy i naukowcy zarzucają uczonym rosyjskim kolonizatorską praktykę wywożenia najcenniejszych znalezisk do muzeów archeologicznych i narodowych w Rosji. Archeologia nabrała jeszcze innego, niemal transcendentnego charakteru. Stała się swoistym medium – wykopaliska pośredniczą między starożytnymi państwami a współczesnymi republikami.

Przebywając na Altaju o historii usłyszymy na każdym kroku. Pamiętam swoje zaskoczenie, kiedy w połowie lat 90. XX w. większość niewinnych pogawędek kończyła się rozważaniami na temat odległej przeszłości. Nie dotyczyło to wcale rozmów z przedstawicielami inteligencji. Początkowo wprawiało mnie w zdumienie, że pasterze, pracownicy kolchozów pod granicą mongolską przekonywali mnie, że są potomkami Hunów i Scytów. Powoływali się na teorie genetyczne dowodząc, że protoplaści dzisiejszych Altajczyków byli wysokimi, błękitnookimi ludźmi¹. Skąd więc takie opinie? Otóż według proponowanej przez ideologów wizji historii narodowej, Hunowie przyczynili się do upadku niezwykle bogatej kultury Scytów-Altajczyków (Halemba 2000), jednak w potocznej opinii i jedni, i drudzy uważani są za etnicznych przodków. Ważną rolę w genealogii narodowej odgrywają ludy tureckie z okresu pierwszego i drugiego chanatu. Wśród najczęściej pojawiających się hipotez dotyczących etnogenezy Turków, jest teoria, zakładająca, że terytorium współczesnej republiki Altaj stanowi kolebkę ludów tureckich, które właśnie stąd rozpoczęły swoją wędrówkę na „cały” kontynent azjatycki.

Takich przykładów historycznych odniesień możemy znaleźć wiele. Niektóre identyfikacje wydawały mi się nawet nie tyle wynalezione, co logicznie trudne do połączenia. Otóż na Altaju kilkakrotnie spotkałem się z przywoływaniem postaci Czyngis Chana. Biorąc pod uwagę, że wcześniej często słyszałem niepochlebne komentarze dotyczące historycznych Mongołów (wojska Czyngis Chana doprowadziły do mongolizacji „rasy” dawnych Turków) wydawały mi się dziwne deklaracje, na przykład przypadkowo spotkanego kierowcy ciężarówki, że jest potomkiem mongolskiego wodza. Wyjaśnienie przyszło nieoczekiwanie: jeden z rozmówców wyjaśnił, że Czyngis Chan był Altajczykiem. Twierdzenie, że jeden z najsłynniejszych bohaterów średniowiecza był etnicznym Altajczykiem, uzasadnia chęć identyfikowania się z potężnym władcą. Przy takiej genealogii wydała mi się łatwiejsza

do zrozumienia wypowiedź, z której wynikało, że drugim słynnym przedstawicielem tego narodu był... Włodzimierz Lenin, którego matka – jak mnie przekonywano – była Altajką.

Mongołowie, jako historyczni przodkowie, pojawiają się częściej i w innym charakterze w rodowodzie Tuwińczyków. Dowodem na pokrewieństwo tureckich mieszkańców Sajanów z Mongołami mają być względy lingwistyczne i etymologia nazwy *Urianchaj*. Ta historyczna nazwa Tuwy pochodzi podobno od głośnego zawołania przedniej formacji wojsk Chyngis Chana, którą stanowili dawni Tuwińczycy. Okrzyk bojowy *uraaaa!*, podrywający do ataku Armię Czerwoną w radzieckich filmach wojennych, stał się we współczesnej „mitologii” narodowej źródłem etymologii nazwy grupy narodowej. Sprawa komplikuje się jeszcze bardziej, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że „dawni” Urianchajowie, jako forpoczta wojsk Czyngis Chana atakowali Kirgizów Jenisejskich, których współcześni Chakasi uważają za swoich przodków w prostej linii. Powstały na terytorium Kotliny Minusińskiej w VI w. związek państwowy Kirgizów, według współczesnej interpretacji chakaskich ideologów, traktowany jest jako pierwsze w dziejach chakaskie państwo. Istniało ono do XIII w. i według miejscowej wykładni historycznej upadło w konsekwencji najazdu mongolskiego. Opuszczenie rodowych koczowisk przez starożytnych Chakasów jest dzisiaj, obok represji komunistycznych, uznawane za najbardziej dramatyczny zwrot w dziejach narodu chakaskiego. Upamiętnia je współcześnie utworzone święto *Ada- Hooraj* – dzień pamięci przodków. Jak widać, mamy do czynienia ze skomplikowaną historyczną mapą etniczną. Ta symboliczna kartografia znakomicie oddaje współczesne dylematy związane z płynnymi identyfikacjami i budowaniem tożsamości narodowej w republikach południowej Syberii.

Podsumowując to co zostało powiedziane, należy zaznaczyć, że „historii wynalezionej” nie należy traktować w kategoriach prawdy lub fałszu, ale jako pewną konwencję mówienia o przeszłości. Ważniejszą rolę odgrywa narracja historyczna, sposób przedstawiania historii narodowej, jej konstruowanie niż „rzeczywiste” wydarzenie zweryfikowane za pomocą „obiektywnej” krytyki źródłowej. Przedstawione genealogie mogą wydawać się niewiarygodne z punktu widzenia warsztatu historyka (choć od razu rodzi się pytanie o kryteria „prawdziwej” wiedzy), tezy mogą ocierać się o nadużycie naukowe i megalomanię. Nie o to jednak chodzi. Wynajdywana historia jest czymś znacznie ważniejszym, jest wymogiem określonej sytuacji historycznej i politycznej. „Przypisywanie sobie długich dziejów było w pewnym momencie historycznym nieuchronną konsekwencją *nowości*” (Anderson 1997, s. 12). Jak widać, na Syberii nie odnosi się to tylko do przeszłości.

¹ Wieś Beltyr słynie na Altaju z tego, że jest to jedyna „altajska” osada w republice, w której ludzie rodzą się z jasnymi włosami. Rzeczywiście widziałem wiele dzieci z blond włosami, które z wiekiem ciemnieją. Wielokrotnie słyszałem, że gen odpowiedzialny za kolor włosów młodych mieszkańców wsi ma być dowodem naukowym genetycznego związku z Hunami.

Literatura:

- Anderson B.: Wspólnoty wyobrażone. Kraków 1997.
Appadurai A.: Nowoczesność bez granic. Kulturowe wymiary globalizacji. Kraków 2005.
Halemba A.: Świadomość narodowa współczesnych Altajczyków [w:] Wielka Syberia małych narodów, red. E. Nowicka. Kraków 2000.
Thomson E.: Trubadurzy imperium. Literatura rosyjska i kolonializm. Kraków 2000.
Weber M.: The Origins of Ethnic Groups [w:] Ethnicity, ed. J. Hutchinson, A. D. Smith. Oxford-New York 1996.

Dr Łukasz Smyrski jest adiunktem w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UW.

„Ludowe” wyobrażenia o władzy, państwie i demokracji

ANNA MALEWSKA-SZAŁYGIN

■ Współczesna demokracja liberalna przyznaje prawo głosu wszystkim dorosłym obywatelom Polski, niepozabawionym praw publicznych. W efekcie znaczny procent wyborców, decydujących o kształcie życia politycznego kraju to ludzie słabo wykształceni. Oczywiście, tak jak pozostali obywatele są oni objęci badaniami sondażowymi. Jednak, jak sądzę, socjologiczne metody badania światopoglądu w przypadku ludzi słabo wykształconych nie pozwalają dotrzeć do głębszych wyobrażeń o władzy i państwie, wpływających na ich preferencje wyborcze. Do tego celu bardziej odpowiednie wydają się metody etnologiczne (antropologiczne). Etnologia, zwana dawniej etnografią, dysponuje wieloletnim doświadczeniem badania „mentalności chłopskiej”. Studia nad obrazem świata warstw ludowych sięgają początków XIX wieku i prowadzone są do dziś.

Zrozumienie współczesnych, „ludowych” preferencji wyborczych było celem projektu badawczego zrealizowanego przez Instytut Etnologii i Antropologii UW w latach 1999–2005 we wsiach powiatu Nowy Targ i na targu w mieście powiatowym. Współcześnie prowadzone badania terenowe różnią się zasadniczo od charakterystycznych dla tradycyjnej etnografii badań społeczności lokalnych. Kultura współczesna wymaga przededefiniowania kategorii lokalności. Dawniej związana ona była z trwałym osadzeniem w przestrzeni i izolacją ograniczającą przepływ ludzi i informacji, której skutkiem była izolacja świadomościowa. Obecnie dawne społeczności lokalne stały się mobilne – masy słabo wykształconych ludzi migrują do wielkich miast i za granicę w poszukiwaniu lepiej płatnej pracy, rozwój mediów umożliwił im utrzymywanie częstych kontaktów z rodziną i społecznością, którą opuścili. Otwarcie na przepływ informacji w oczywisty sposób zmieniło mentalność mieszkańców wsi, tym większym zaskoczeniem dla ekipy badawczej było mówienie o władzy nawiązujące do tradycyjnego, chłopskiego wzoru „dobrego gospodarza”.

Wyobrażenia o rzeczywistości ujawniające się w wiejskim dyskursie składają się na lokalną wiedzę potoczną, podręczne narzędzie poznawcze, umożliwiające interpretowanie otaczającej człowieka rzeczywistości – jej rozumienie i ocenianie. To narzędzie, patrząc z perspektywy badacza, jest całością zlepioną niemetodycznie ze strzępów różnych systemów idei. Jednak użytkownikom dostarcza na tyle spójnej wizji świata, aby wydawał się on sensowny i przewidywalny. Badaczowi trudno opisać sposób ustrukturyzowania tej wiedzy, ponieważ to nie jemu, ale posługującym się nią rozmówcom jawi się ona jako uporządkowana. I tu rodzi się pytanie, czy ta wiedza jest „geologicznie” uwarstwiona, czy też skonstruowana ze swobodnie wymieszanych elementów pochodzących z różnych systemów. Historycy idei, jak pisał



Targowisko w Nowym Targu, fot. A. Malewska-Szałygin

Foucault, byliby zwolennikami tezy o historycznie uporządkowanej stratyfikacji. On sam wątpił w tak klarowny ład. Interpretacja nowotarskich rozmów także nie skłania do przyjęcia wizji regularnie nakładających się warstw idei.

Rozważając uchwycone podczas rozmów wyobrażenia, można zaryzykować twierdzenie, że ich fundamentem jest doświadczenie życia i pracy w gospodarstwie rolnym. Oczywiście, doświadczenie, aby mogło stanowić punkt wyjścia jakichkolwiek przekonań, musi być zinterpretowane. Sens nadają mu wcześniej przyjęte kategorie poznawcze. Przy czym relacja ta nie jest jednostronna, jest to raczej wzajemne współkształtowanie się doświadczenia i pojęć, użytych do absorbowania go. W odniesieniu do praktyki gospodarowania, kategoriami interpretującymi będą kategorie pojawiające się w opisach kultury ludowej między innymi u Bystronia, Dobrowolskiego, Znanieckiego.

Najbardziej zakorzenione w kulturze chłopskiej wydaje się postrzeganie władzy przez pryzmat postaci gospodarza, ze wszelkimi tradycyjnie związanymi z tym wzorem obowiązkami i przywilejami. Z „gospodarskiej” perspektywy widziane są też relacje własności wiążące władzę, państwo i naród. Stosunek do pracy, obowiązku utrzymania rodziny i wielu innych powinności również jest, w znacznej mierze, kontynuacją wzorów obowiązujących w kulturze rolniczej. Z matrycą tradycyjnych wyobrażeń związane jest przekonanie o istnieniu wyraźnej stratyfikacji społecznej. Przekonanie o obcości sfery władzy nawiązuje do ludowych wyobrażeń dotyczących *orbis exterior*, stereotypów „obcego” funkcjonujących w kulturze chłopskiej i wielowiekowych doświadczeń „kleptokracji”. Postrzeganie władzy jako siły



Nowy Targ, fot. A. Malewska-Szałygin

wyższej wywodzi się z tradycyjnych wyobrażeń dotyczących transcencji.

Nowotarskie rozmowy dotyczące narodu i Ojczyzny pokazują, że idee narodowe, trafiając na podatny grunt tradycyjnych, rolniczych wyobrażeń o rodzinie i ojcowiznie, zakorzeniły się trwale. Można spierać się o to, kiedy dokonał się proces interioryzacji tych idei, jednak patrząc z perspektywy współczesności widoczna jest przede wszystkim ich trwałość. Trudno tu jednak mówić o włączeniu do nowotarskiej wiedzy potocznej spójnych systemów w rodzaju filozofii Herdera czy Hegla. Tym, co przyjęło się w lokalnej *doxa*, są pojedyncze myśli, wyrwane z systemowego kontekstu. Gdy patrzy się z perspektywy filozoficznej, wydają się one przypadkowe, jednak patrząc przez pryzmat etnograficznego doświadczenia, można zauważyć, że wybrano te, które lepiej pasowały do mentalnej matrycy, takie jak: wyobrażenie narodu jako rodziny rodzin czy Ojczyzny jako ojcowizny narodu.

Podobnie treści ideowe promowane w czasach PRL nie zasiły wiejskiej wiedzy potocznej w postaci spójnego systemu idei. One również zostały potraktowane wybiórczo, w tym przypadku także przyjmowały się koncepcje lepiej pasujące do wcześniej ugruntowanych kategorii. I tak na przykład wyobrażenie majątku państwowego jako narodowego jest swoistą fuzją spojrzenia gospodarskiego, idei narodowych i socjalistycznego doświadczenia upowszechnienia własności państwowej. To skomplikowane połączenie owocuje opisywaniem prywatyzacji w kategoriach kradzieży dóbr należących do narodu.

Dla zilustrowania tych tez posłużmy się przykładem: kontrastując pojęcie państwo z określeniem Polska, kilku rozmówców odwołało się do leninowskiej koncepcji, mówiąc *państwo to jest aparat ucisku, a Polska to jest Ojczyzna nasza!* Przytoczone słowa, brzmiące jak cytaty z socjalistycznej propagandy (sączonej między innymi przez radiowęzeł w nowotarskim kombinacie obuwniczym „Podhale”), skonstrastowane są w jednym zdaniu z wdrażanym wcześniej językiem patriotycznym. Ten przykład jest jednym z wielu pokazujących, że wiejski dyskurs lokalny i ujawniany w nim sposób myślenia jest zaskakującym przemieszczaniem okrucich różnych systemów myślowych i językowych.

Często też okazywało się, że słowa brzmiące jak socjalistyczne hasła propagandowe należały do zupełnie innego systemu znaczeń. I tak na przykład w rozmowach niekiedy padało pytanie retoryczne dotyczące polityków: *Co? To oni inne żółdki mają?* sugerujące rewolucyjny egalitaryzm. Jednak z dalszego ciągu wypowiedzi wynikało, że te słowa odnosiły się do ewangelicznego ideału równości. Na gruncie nowotarskich wypowiedzi sporo trudności nastroczało oddzielenie idei popularyzowanych przez socjalistyczną propagandę od wdrażanego przez wieki przesłania Kościoła.

W nowotarskich rozmowach pojawiały się też przedziwne fuzje i splecenia koncepcji z punktu widzenia badacza bardzo odległych. Ścisłej, należałoby powiedzieć strzępów koncepcji. Przykładem może być widoczne w zanotowanych wypowiedziach połączenie *quasi* augustiańskiej koncepcji „państwa Bożego” z pojęciem demokracji, zabieg szalony z punktu widzenia historii filozofii, a jednak funkcjonujący, czego dowodzą materiały terenowe. Słowo *quasi* jest tu kluczowe, podkreśla, że przymiotnik augustiańska jest etykietą zastosowaną przez badacza, gdyż oczywiście nikt z rozmówców nigdy nie czytał pism św. Augustyna. Na nowotarskie wyobrażenia o rzeczywistości rajskiej wpływ mieli miejscowi proboszcze, a nie traktaty filozoficzne Ojców Kościoła.

Z opisywanych zlepień fragmentów systemów myślowych nałożonych na matrycę tradycyjnych wyobrażeń tworzona jest całość, która wciąż absorbuje nowe pojęcia i idee. W odniesieniu do polityki ten proces nasilił się po 1989 r. Jednak, jak pisał Anthony Cohen, „ideologii nie można eksportować na tej samej zasadzie jak rowery. (...) W samym procesie transportu ideologie ulegają przekształceniom”. Problem w tym, jakim przekształceniom. Rozważania na ten temat prowadzone są zwykle w skali makro i dotyczą państw, które objęła tak zwana trzecia fala demokratyzacji. Jednak wnioski, do których dochodzą ich autorzy, niewiele mówią o „opadaniu” tych idei do dyskursów lokalnych i wiejskich systemów myślowych.

W nowotarskich rozmowach widać, jak lokalna wiedza potoczna stara się zmierzyć z wielkimi ideami takimi jak demokracja, reprezentacja czy pluralizm, wokół których konstruowana jest nowa, polska rzeczywistość polityczna. Eksportowane idee, docierając na wieś nakładają się na wcześniejsze wyobrażenia. Ten zabieg niekiedy zaskakująco zmienia ich sens. Wypada zgodzić się z Ajrunem Appaduraiem, który pisał, że spójny niegdyś system filozoficzny i pojęciowy stosowany od czasów Oświecenia do opisu sfery politycznej w myśli Zachodu, stał się obecnie „luźno ustrukturyzowanym synopticonem politycznym”, a pojęcia, wyrwane z niego, funkcjonują niezależnie i są definiowane w zależności od kulturowego podłoża, na które trafiają w procesie globalnych wędrówek słów.

Dr Anna Malewska-Szałygin jest adiunktem w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UW.

Równaniem w tornado

JUSTYNA JASIEWICZ-HALL

■ Przyzwyczajiliśmy się do prognoz pogody, które wybiegają dziesięć, dwanaście dni w przyszłość, do tego że spiker w radiu mówi, czy wychodząc z domu zabrać parasol czy okulary przeciwsłoneczne, do ikon w rogu monitora, które zmieniają się razem z zachmurzeniem. Prognoza pogody jest dla nas codziennością. Dlatego warto poznać numeryczną prognozę pogody przygotowywaną w Interdyscyplinarnym Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego UW. W ICM prognozuje się wykorzystując modele: Unified Model (UM) brytyjskiej służby meteorologicznej oraz Coupled Ocean/Atmosphere Mesoscale Prediction System (COAMPS) – Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Codzienne prognozy pogody przygotowuje zespół kilku osób, którym kieruje Leszek Herman-Iżyski. Rozwojem modeli prognoz pogody w ICM zajmuje się dr Bogumił Jakubiak.

Powietrze jest płynem

Podstawą wszystkich modeli numerycznego prognozowania pogody jest założenie, że powietrze zachowuje się jak ciecz. – Reszta to już czysta fizyka, a konkretnie równania fizyki atmosfery – mówi Leszek Herman-Iżyski. Prognozowanie rozpoczyna się więc od zbudowania modelu – układu algorytmów i wzorów.

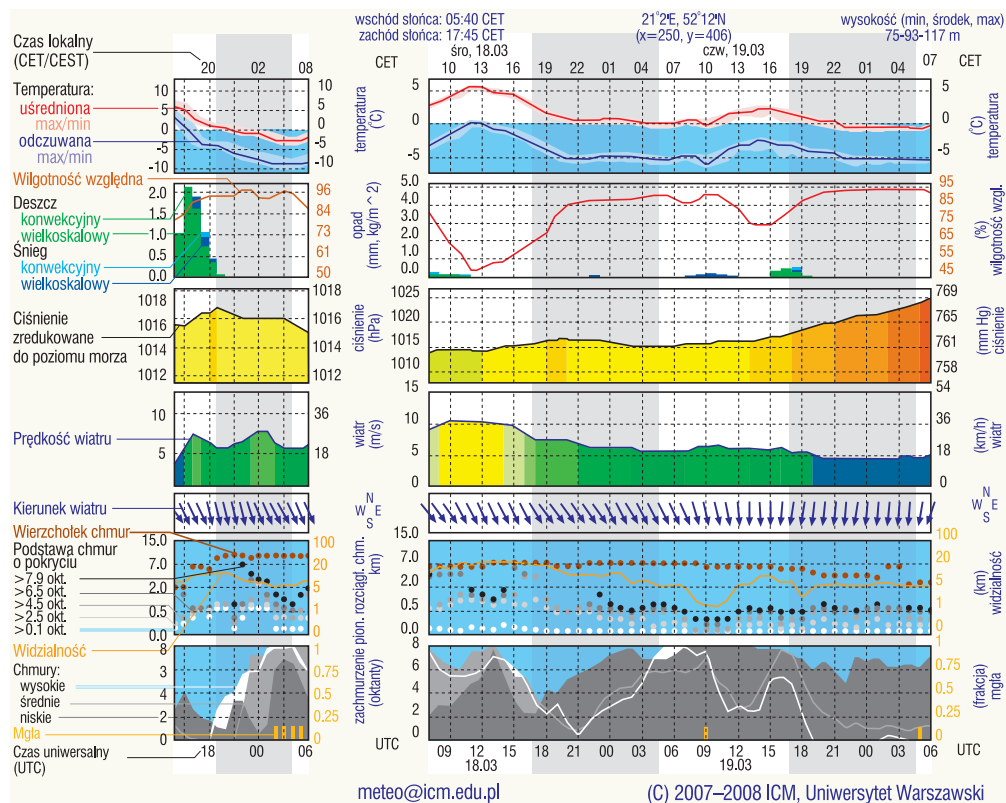
– Wszystko opiera się na równaniach ruchu, pędu i energii, których przybliżone rozwiązanie w postaci modelu atmosfery realizuje komputer – dodaje Bogumił Jakubiak. Są to skomplikowane równania różniczkowe o nieliniowych oddziaływaniach pomiędzy różnymi skalami zaburzeń. Ich efektywne rozwiązanie przy pomocy komputera wymaga więc wprowadzenia szeregu uproszczeń. Przede wszystkim pochodne przybliża się różnicami skończonymi, co prowadzi do metody siatek. Tak więc w modelu atmosfery prognozowane zmienne są umieszczane w regularnej siatce węzłów obliczeniowych, a każdy węzeł reprezentuje obszar z najbliższego otoczenia. W atmosferze występują też zjawiska małej skali, całkowicie znikające w oczku siatki modelu. W takich przypadkach stosuje się parametryzację, opisując sumaryczny wkład zjawiska małej skali na procesy opisywane przez model. Drugi krok to określenie warunków atmosferycznych na brzegach obszaru, czyli danych

dotyczących pogody „na granicach” przestrzeni, dla której przewiduje się zmiany atmosferyczne. W przypadku prognozy przygotowywanej dla całej kuli ziemskiej, brzegami będą z jednej strony powierzchnia Ziemi, a z drugiej – wierzchołek atmosfery.

Numeryczna prognoza pogody dla Polski zaczyna się – w zależności czy mówimy o modelu UM czy COAMPS – w Wielkiej Brytanii albo w USA. Stamtąd bowiem spływają dane o prognozie globalnej, niezbędne do rozpoczęcia obliczeń dla Polski. Trzeci krok to określenie warunku początkowego, czyli uzgodnienie danych dwóch rodzajów: wyników poprzednio policzonej prognozy pogody oraz odczytów z urządzeń pomiarowych. – Symulacja jest prowadzona na kilkadziesiąt godzin do przodu i wszystkie nasze wysiłki sprowadzają się do tego, żeby była jak najdokładniejsza – mówią pracownicy ICM.

Jak nam powieje

Mimo zastosowania złożonych algorytmów, wprowadzanych wielorakich danych pomiarowych i setek tysięcy operacji obliczeniowych na sekundę, prognozującemu modelowi atmosfery umykają pewne zjawiska atmosferyczne. Najwięcej problemów przynoszą te wynikające z rozwoju konwekcji, np. niewielkie



Meteorogram ICM dla Warszawy z 18 marca 2009 r.

tornada, gwałtowne burze. – Zjawisko konwekcji powietrza w atmosferze generalnie jest dość trudne do modelowania. W wielkoskalowych modelach hydrostatycznych, czyli w starszych modelach prognozowania pogody, wszelkie ruchy konwekcyjne musiały być wprowadzane do modelu „tylnymi drzwiami” w postaci jej parametryzacji – mówi Leszek Herman-Lżycki. Poziom parametryzacji konwekcji w zasadzie zależy od tego, jak duże będzie przyjęte w modelu oczko siatki. Przyjmuje się, że w sposób jawny można uwzględnić konwekcję w modelach opisujących skalę przestrzenną poniżej 10 km. Tym sposobem w modelu COAMPS, gdzie stosuje się 13 kilometrowe oczko siatki, konwekcja jest parametryzowana, a w modelu UM rozwiązywana jawnie. Mimo to nawet w modelu UM, gdzie mamy drobną, czterokilometrową siatkę, w każdym oczku mogą zmieścić się zjawiska mniejszej skali, jak tornado albo gwałtowna burza. Wynika to jednak nie z niedoskonałości czy pomyłek w obliczeniach, ale z tego, jak drobne są tego typu zawirowania. – Bywa przecież tak, że tornado potrafi zniszczyć stodołę, a stojącego 100 m dalej domu już nawet nie naruszy. Jakis czas temu na Mazurach przeszła trąba powietrzna, która „wykosila” równy korytarz w lesie – mówią badacze. Modele są jednak coraz lepsze i pokazują groźne zmiany, choć nie zawsze na tyle dokładnie, na ile moglibyśmy tego sobie życzyć. Latem 2007 r. COAMPS przewidział, że zbliża się gwałtowna burza, która wywołała tragiczny w skutkach biały szkwał na jeziorze Śniardwy. Model pomylił się co prawda w obliczeniach dotyczących dokładnego miejsca i czasu, jednak widać było bardzo wyraźny wzrost prędkości wiatru w komórce burzowej. Problemy z prognozowaniem nagłych i silnych zmian w pogodzie wynikają również z założeń modelowania numerycznego jako takiego. – Modele numeryczne wyliczają dane uśrednione w danym oczku siatki – tłumaczy Jakubiak. – A skoro uśrednione, to dwa ekstrema najbardziej interesujące nas w życiu codziennym, minimum i maksimum, rozmywają się – mówi. – Myślimy o projektach, które mogłyby tego typu zjawiska prognozować na podstawie każdorazowo występujących zwiastunów konwekcji, ale to jeszcze długa droga. Mamy co robić – dodaje z uśmiechem. ■

Współczesna kultura a długowieczność produktów?

ANNA SZALAST

■ W czasach, w których twórczość artystyczną zaczęto określać mianem produkcji, trzeba znaleźć odpowiedź na pytanie, czym jest dzieło sztuki a czym po prostu produkt. Czy twórczość artystyczna jest produkcją? W jakich kategoriach możemy rozważać powstawanie dzieła sztuki? Jaka jest jego funkcja? Czy w pojęciu produkcji możliwa jest alternatywa? Takie oto dociekania nasuwają się w kontekście awangardowej nowomowy, która przeniknęła do młodej krytyki sztuki. Jak sobie dać z tym radę? Produkujemy czy tworzymy?

Powstawanie dzieła sztuki to proces złożony. Skrzyżowanie ducha i materii. Wzajemne przenikanie się tych elementów, w których nic z góry nie bywa dokładnie określone. Przeciętny produkt bywa zaś efektem jasno sprecyzowanego planu i celem realizacji. Trudno szukać przeczucia czy intuicji w produkcji przedmiotu użytkowego, którego funkcja jest precyzyjnie określonym zamiarem produkcyjnym, a etap końcowy przewidywalny w najdrobniejszych szczegółach. Dzieło sztuki nigdy do końca nie jest wyjaśnione. Powstaje w wyniku przesłanek i w każdej chwili zamiar może ulec zmianie bez uszczerbku dla etapu końcowego. Już takie podstawowe cechy powstawania dzieła sztuki przeczą, aby określenie *produkcja*, wyczerpywało proces jego powstawania.



Jedna z rzeźb prezentowanych w ogrodach biblioteki, zbiory BUW

Numeryczna prognoza pogody ICM UW dostępna jest na stronie: <http://new.meteo.pl>.



Wystawa rzeźb projektu „Rzeźba dla Warszawy”, zbiory BUW

Trudno przy tak niejasnych i nieprecyzyjnych kryteriach wszczepić dzieło sztuki w tkankę społeczną, kiedy jest ono odarte ze swej tajemniczej otoczki i przedstawione na podobieństwo pospolitego przedmiotu jako produkt. Kim zatem jest tworzący je artysta? Producentem, inżynierem, drobnym wytwórcą? Dzieło to unikat czy seria?

Kiedy powstawał niezwykle w naszej rzeczywistości projekt „Rzeźba dla Warszawy”, którego celem było stworzenie trwałej kolekcji rzeźby w przestrzeni publicznej, było to budowanie na ziemi jałowej. Wyjałowionej z pojęcia tworzenia czegoś trwałego. W zgiełku zabawy, preferowania ulotności i programowanej brzydoty trudno o zrozumienie dla idei trwałości i piękna. Przesłanie „Warszawskiego Festiwalu Rzeźby” to przeciwstawienie się tymczasowości i nietrwałości. Absurdalne byłoby nieustanne przenoszenie rzeźb parkowych z Ogrodu Saskiego czy parku w Wilanowie. Podobnie można wyobrazić sobie proces wędrówki rzeźby współczesnej stworzonej do stałego osadzenia w wybranym miejscu.

Wystawa rzeźb w ogrodach Biblioteki Uniwersyteckiej, pomimo iż rzeźby są przeznaczone do ekspozycji stałej, nie pozostanie w miejscu swego obecnego posadowienia. Rzeźby powędrują do Śródmieścia i tam wyeksponowane, będą czekać na swoje przeznaczenie, którym jest wszczepienie ich w tkankę przestrzeni społecznej. Chodzi nie tylko o znalezienie miejsca stałej ekspozycji, ale również przekonanie użytkowników przestrzeni, że rzeźby tam posadowione są w miejscu właściwym. Czym jest taka właściwość miejsca? Przestrzeń publiczna to własność wielu ludzi. Budując w takim miejscu cokolwiek, musimy się liczyć z ich odmiennością i potrzebami. Miejsce właściwe to takie, które może być zaakceptowane pomimo tej odmienności. Miasto jest organizmem i powinno być budowane zgodnie z potrzebami użytkowników. Jeśli nie są one w pełni respektowane, powstają błędy, niejasności w dziedzinie przystosowania miasta do potrzeb jego mieszkańców. Oczekiwania i realizacje rozmiągają się, ponieważ tylko klarowny cel daje przejrzyste realizacje.

Przykładem rozmijania się oczywistych potrzeb, może być niejasne ich rozwiązanie, gdy dochodzi do zachwiania równowagi pomiędzy potrzebą swobodnego poruszania się oraz precyzyjnego określenia reguł korzystania z tej swobody, ale bez stosowania

terroru tam, gdzie wystarczy jasne określenie zasad. Ilustracją niejasnego i niedobrego opracowania tych reguł jest palikowanie ulic stolicy, przesadne naszpikowanie przestrzeni miejskiej słupami różnego kalibru, większymi i mniejszymi, wymuszającymi lawirowanie między nimi. Użytkownik przestrzeni staje się natrętem obezwładnianym żerdziami, zamiast być tylko prowadzonym bezpiecznie w rejonach zagrożenia. Po okresie swobodnego otwierania przestrzeni, znowu nastąpiła moda na jej szatkowanie płotami, murami, palami od dołu do góry.

Na szczęście jeszcze trochę wolnej przestrzeni zostało, gdzie można stworzyć enklawy spokoju i urody. Miejsca gdzie moglibyśmy się spotykać z przyjaciółmi, cieszyć się ich urodą i polecać je jako jedyne i ulubione. Kolekcja rzeźb to znaki tej przyjaznej przestrzeni. Skąd się wzięła kolekcja? Wystawa w zimowej scenerii ogrodów Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie jest plonem ubiegłorocznej edycji „Warszawskiego Festiwalu Rzeźby–Rzeźba dla Warszawy”, który jest otwartym programem cyklicznym i ma już za sobą ponad 10-letnią tradycję. Początkowo odbywały się spotkania artystyczne rzeźbiarzy w Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku

w ramach plenerów rzeźbiarskich w kamieniu, które autorka artykułu od 1997 r. organizuje i prowadzi. Od roku 2007 poszerzono program plenerów, inicjując „Warszawski Festiwal Rzeźby–Rzeźba dla Warszawy”. W 2008 r. odbyła się II edycja festiwalu, której program został przedstawiony jako oferta budowy stałej kolekcji rzeźby współczesnej dla Warszawy.

Festiwal jako program kilkuetapowy jest akcją złożoną, pokazującą dzieło w postaci dojrzałej, ale też proces jego narodzin. W takim aspekcie wzbogaca się o nową wartość jako program edukacyjny, nieograniczający się jedynie do biernego aplikowania wartości artystycznych. Przez ujawnianie procesu powstawania dzieła, wprowadza odbiorcę w dynamiczny proces jego odbioru. Pozwala mu śledzić etapy jego powstawania i lepiej zrozumieć intencje autora.

Pierwszy etap przedstawiony w lipcu 2008 r. w Galerii Domu Artysty Plastyka to przedstawienie projektów rzeźb w ramach założeń tematycznych, w każdej edycji innych. Lata 2007–2008 poświęcone były ogólnym założeniom tematycznym, w ramach których powstała kolekcja rzeźby współczesnej, adresowanej do przestrzeni miejskiej. W roku 2009 kolekcja ta skupi się wokół jednego tematu „Fontanna dla Warszawy”.

Kolekcja z ogrodów BUW prezentuje sześć monumentalnych rzeźb w kamieniu, o różnorodnej tematyce i stylistyce. Cechuje ją duża swoboda autorskiego podejścia do ogólnych założeń programu i traktowania materiału. Pomimo iż wszystkie rzeźby wykonane są z bloków piaskowca o zbliżonych gabarytach, bardzo różnią się od siebie. Stanowią jednolitość jako kolekcja powstająca przy jednorodnym założeniu programowym. Tym bardziej wzmacnia to ich wartość artystyczną, ponieważ zachowują wartość programową, nie tracąc swych indywidualnych artystycznych zamierzeń.

Kolekcja prezentowana w BUW jest niezwykle. Wzbogaca przestrzeń publiczną stolicy i daje dobry początek mecenasowi sztuki w oparciu o miasto stołeczne. ■

Anna Szalast jest kuratorem wystawy prezentowanej od stycznia do kwietnia 2009 r. w ogrodach BUW, w ramach projektu „Warszawski Festiwal Rzeźby – Rzeźba dla Warszawy”

Wykopaliska w głębinach Morza Gościnnego

ALEKSANDRA GÓRSKA

■ Morzem Gościnnym (gr. πόντος Εὐξεινος, łac. Pontus Euxinus) starożytni nazywali eufemistycznie Morze Czarne, próbując obłaskawić nieprzyjazny żywioł i zastępując tym określeniem wcześniejsze – Morze Niegościnne. Wybrzeża Pontu zasiedlały w starożytności rozmaite ludy, a jego wody przecinały liczne morskie szlaki handlowe łączące Wschód z Zachodem i Południe z Północą. Bogata i burzliwa historia tych terenów skłoniła archeologów do powołania Misji Krymskiej, która od kilku lat prowadzi podwodne badania archeologiczne wybrzeży Morza Czarnego.

W sezonie 2008 naszym głównym celem było zadokumentowanie i wydobywanie zlokalizowanych w poprzednim roku obiektów. Założyliśmy także, że przeprowadzimy poszukiwania w nieprzebadanych dotychczas zatokach, oznaczając nowo odkryte stanowiska przy pomocy systemu GPS. Jednak ponowne odnalezienie stanowiska, nawet jeśli dysponuje się dokładnymi namiarami, nie zawsze jest zadaniem łatwym. Widoczne kiedyś przedmioty mogły ulec zamuleniu lub w inny sposób zniknąć z oczu poszukiwaczom. Pod wodą wypatrywaliśmy więc nienaturalnie wyglądających form kamiennych, których kształt przypominałby W-kształtne kotwice bizantyjskie lub proste, dwuramiennne – rzymskie. A gdzie jest kotwica – tam może być i wrak. Szukanie wraków na tych terenach nie jest bezzasadne. Wybrzeże Morza Czarnego, obfitujące w mielizny i skaliste występy, wielokrotnie pochłaniało statki wraz z załogą i całym ładunkiem, tworząc z tragedii sprzed wieków skarb dla przyszłych pokoleń.

Wobec utrudnionych warunków prowadzenia badań (we wrześniu widoczność w wodzie wynosiła tylko kilka metrów) postanowiliśmy przeczesywać dno płynąc tyralierą w 2,5-metrowych odstępach. W ten sposób udało nam się zebrać fragmenty starożytnej ceramiki oraz zlokalizować dwa zabytki metalowe w pobliżu skał słynnego z *Sonetów Krymskich* Ajudahu (ukr. Аю-Дар). W skamielinach obficie pokrytych glonami i porostami dostrzeżliśmy charakterystyczny zarys W-kształtnych ramion bizantyjskiej kotwicy. Sfotografowanie, a zwłaszcza narysowanie takiego przedmiotu, zważywszy na wzbijający się muł i prądy morskie, wzmacniające dodatkowo niestabilność podwodnego rysownika, jest zadaniem karkołomnym. Przy tym doświadczeniu wykonanie dokumentacji obiektów naziemnych wydaje się dziecinnie łatwe. Po czasochłonnej pracy, wymagającej współdziałania dwóch osób, które musiały porozumiewać się między sobą na migi lub przy pomocy tabliczki i ołówka, drugi zespół przystąpił do wydobywania zabytku. Jednej parze nie



Świeżo wydobyta z wody kotwica bizantyjska, fot. M. Nowakowska

wystarczyłoby bowiem powietrza na tak długie przebywanie pod wodą. Podczas eksploracji pletwonurkowie potrzebowali dłuta, żeby odkuć skamielinę od dna, oraz skrzynki do transportu i dużego balonu o wyporności 500 kg, by podnieść przedmiot, przy czym jego podwodny „lot” musiał być uważnie kontrolowany. Podobnie postąpiliśmy z kotwicą o prostych ramionach, pochodzącą prawdopodobnie jeszcze z czasów rzymskich, którą znaleźliśmy niedaleko miejscowości Ałupka (ukr. Алу́пка).

Oprócz efektownych przedmiotów szukaliśmy również mniej spektakularnych artefaktów, takich jak fragmenty glinianych amfor, których chronologia jest bardziej precyzyjna. Większość wy-

dobitych przez nas naczyń można datować na XI-XIII w. po Chr., czyli na okres bizantyjski.

Najbardziej frapującego odkrycia dokonaliśmy w pobliżu wspomnianej już skały Ajudahu, gdzie na dnie, wśród kamieni i czarnomorskiej flory rysował się charakterystyczny kształt – jak nam się wydawało – strzałkowatych ramion. Po wydobywaniu tej domniemanej kotwicy dopadły nas wątpliwości, jako że kształtem przypominała raczej krzyż prawosławny. Co ciekawe, w pobliżu znaleźliśmy również stempel do chlebków liturgicznych (odpowiedników opłatków w kościele katolickim), fragment lichtarza i paterę bizantyjską, datowane na XI-XIII w. po Chr. Czyżby był to ładunek statku przewożącego wyposażenie cerkiewne? Ta niewątpliwie pociągająca i śmiała hipoteza wymaga naturalnie bardziej wnikliwej analizy.

Tegoroczne badania stanowią wyraźny postęp w stosunku do sezonu poprzedniego, ponieważ udało nam się zadokumentować i wydobyć wybrane zabytki. Naszym ostatecznym celem jest zorganizowanie pełnowymiarowych wykopalisk, w toku których moglibyśmy zadokumentować jeden z wraków w całości. Takie badania stanowiłyby istotny wkład w rozwój wiedzy o antycznych szlakach handlowych Morza Czarnego.

Aleksandra Górską jest członkiem Studenckiego Koła Naukowego Nowoczesnych Metod Prospekcji i Dokumentacji Archeologicznej „Wod.O.Lot” oraz uczestniczką międzynarodowej Misji Krymskiej („Crimea Project – Underwater Expedition”), współorganizowanej przez Uniwersytet Warszawski oraz Narodową Akademię Nauk Ukrainy (filia w Symferopolu). W badaniach wzięli udział członkowie Wod.O.Lot-u (IA UW) oraz studenci Wydziału Historycznego Uniwersytetu Szczecińskiego. Do misji dołączyła też grupa nurków z Warszawskiego Klubu Pletwonurków. Opisana powyżej wyprawa z września 2008 r. była trzecią z kolei edycją Misji Krymskiej.

Pankisi – dlaczego tam?

MAGDALENA WNUK

■ Myślę, że wiele osób, słysząc nazwę „Pankisi”, ma ochotę dowiedzieć się, co ona oznacza, gdzie znajduje się to miejsce, a te z nich, które mają duszę podróżnika, z przyjemnością by tam pojechały. Jeszcze do niedawna wyprawa do Pankisi byłaby prawie niemożliwa, a na pewno trudna do zrealizowania i niebezpieczna. Postaram się przedstawić Pankisi w takim stopniu, w jakim udało się je poznać mnie oraz moim koleżankom i kolegom z grupy laboratoryjnej „Tożsamość a procesy transformacji ustrojowej w krajach Kaukazu Południowego”, pod kierunkiem mgr Patrycji Prześlakiewicz-Rohozińskiej.

Pankisi to wąwóz położony w północno-wschodniej Gruzji, w regionie kachetyjskim, w górach Kaukazu. Zamieszkuje go muzułmańska mniejszość etniczna Kistów, którzy nazywani są też „gruzińskimi Czeczenami”. Nazwa ta może sugerować, że są oni po prostu Czeczenami, którzy mieszkają w Gruzji. Jednak, choć Kistów łączy z Czeczenami bardzo wiele (ich przodkowie przybyli do Gruzji głównie z terenów współczesnej Czeczenii), to zrównanie tych dwóch społeczności wydaje się zbyt pochopnym sądem.

Etnos czeczeński stał się znany światu za sprawą krwawych wojen rozpoczętych w latach 90. Czeczeni walczyli o niepodległość swojego kraju, oddzielenie się od Federacji Rosyjskiej, uznanie ich przez opinię światową za naród. Dążenia narodowo-wyzwoleńcze Czeczenów miały ogromny wpływ także na ich krewnych z Kaukazu Południowego – Kistów.

Stosunki czeczeńsko-kistryńskie na większą skalę zaczęły się rozwijać już w latach 70., jednak wzrost ich znaczenia miał miejsce w latach 90., w czasie wojen czeczeńsko-rosyjskich. Wówczas wąwóz Pankisi stał się miejscem schronienia dla uchodźców z Czeczenii. Wśród nich byli zarówno cywile, jak i bojownicy oraz ludzie z szeroko pojętego „marginesu społecznego”. Niestety to właśnie ci ostatni „wślawili” Pankisi na świat. W latach 1999-2004 wąwóz był miejscem niebezpiecznym, porywano tam dla okupu, kradzieże były na porządku dziennym, dochodziło do niewyjaśnionych morderstw, grasowali dilerzy narkotyków. Był to region wyjęty spod prawa, zamknięty przez gruzińskie organy władzy i bezpieczeństwa. W 2002 r. świat obeszła wieść, że wśród pankiskich Kistów przebywa ponoć Osama ibn Laden. Kistowie, a z nimi uchodźcy czeczeńscy, mieli być zatem zausznikami Al Kaidy. W tej sytuacji mieszkańcy regionu zdecydowali się wziąć sprawy w swoje ręce. Pomoc z zewnątrz nie nadchodziła, albo była zbyt opieszła. Ostatecznie, przy współpracy władz gruzińskich oraz części przebywających w wąwozie Czeczenów, Kistom udało się oczyścić region z „uciążliwych gości”.

Pierwszy nasz pobyt w wąwozie pankiskim we wrześniu 2007 r. trwał bardzo krótko – zaledwie trzy dni. Pamiętam z tego wyjazdu obraz spokojnego wiejskiego życia, pozbawionego wygód (takich jak choćby kanalizacja). Poznani przez nas ludzie byli bardzo gościnni. Niczego nam tam nie brakowało. Karmiono nas tak, żeby pokazać się z jak najlepszej strony. Przyjaźni ludzie, piękna okolica, spokój i wiele ciekawych rzeczy do wysłuchania, zobaczenia, nauczenia się – brzmi to wszystko sielankowo, tak też Pankisi jawiło mi się po pierwszym wyjeździe.



Góry Kaukazu, fot. M. Wnuk

Zanim kolejny raz dotarliśmy do wąwozu, część z nas spędziła tydzień w Gruzji podczas stanu wojennego w sierpniu 2008 r. Obserwowaliśmy Tbilisi, które ze słonecznego, tętniącego życiem, obleżonego przez turystów miasta, przeobraziło się w pełną napięcia, opuszczoną przez cudzoziemców stolicę zagrożonego państwa. My również wyjechaliśmy, pełni niepokoju, co stanie się z Gruzją, a także z Pankisi i naszymi niedokończonymi badaniami. Na szczęście wojna nie rozpętała się na dobre, Gruzja odetchnęła, a my we wrześniu 2008 r. powróciliśmy do wąwozu.

Mój drugi pobyt w Pankisi trwał jedenaście dni. Podobnie jak poprzednim razem był to czas Ramadanu. Kistowie nie jedli od wschodu do zachodu słońca i z tego powodu nie mieli zbyt wiele energii, żeby pracować. Podczas rozmów z nimi rzadko mieliśmy poczucie, że im przeszkadzamy, co więcej dla nich samych był to przyjemny sposób na zabicie czasu.

Tym, co przykuwa uwagę gości Pankisi, jest religia. Wiąże się z nią w wąwozie w zasadzie wszystko – przynależność etniczna, małżeństwo, pogrzeb, zwyczaje związane z jedzeniem, piciem, ubieraniem się. W wielu społecznościach religia jest źródłem norm we wszystkich aspektach codziennego życia. Wśród muzułmańskich Kistów jest to zjawisko może nie całkiem nowe, ale na pewno „odnawiane”. Można wyodrębnić kilka przyczyn o podłożu historyczno-politycznym, które wpłynęły na obecny stan religijności w wąwozie: walki wyzwolenicze i bunt antycarskie pod sztandarami islamu w XIX w. w Czeczenii, przymusowe nawracanie na chrześcijaństwo górali kaukaskich za panowania Rosji carskiej, politykę ateizacyjną ZSRR, wieloletnie sąsiedztwo z prawosławnymi Gruzinami, wojny czeczeńskie i odnowienie kontaktów z pobratymcami z północy. Wydarzenia te, jeśli weźmiemy pod uwagę obowiązującą w danych okresach religię, tworzą sinusoidę – raz w górę wznosi się islam, raz chrześcijaństwo. Niekoniecznie stanowi to odzwierciedlenie poczucia tożsamości Kistów, charakteryzuje jednak politykę, jaka była prowadzona w tym regionie. Historia doprowadziła do powstania w Pankisi

swoistej mieszanki religijnej, której znaki, zarówno teraźniejsze, jak i z przeszłości, mieliśmy możliwość badać.

Obecnie Kistowie deklarują islam. W społeczności tej funkcjonują dwa jego nurty, w zasadzie zwalczające się nawzajem (na razie bez konfrontacji zbrojnej) – tradycyjny islam kaukaski oraz wahhabizm (zwany też „nowym islamem”). Wahhabizm jest pokłosiem wojen czeczeńsko-rosyjskich, kiedy to do Pankisi przybyli rozmaici ludzie, wśród nich także fundamentaliści czeczeńscy. Nie jest tak radykalny, jak jego odmiana na północnym Kaukazie, a wyznają go głównie młodzi Kistowie. Nazwa „nowy islam” staje się obecnie coraz bardziej popularna. Nie należy jej mylić z „czystym islamem”, który deklarują niemal wszyscy Kistowie, zarówno ci należący do odłamu tradycyjnego, jak i do „nowego”. Islam wydaje się więc być słowem-kluczem do badania problematyki religii w wąwozie. Szybko jednak można się zorientować, że nie jest jedynym fundamentem kultury kistryńskiej.

Bez wątpienia w kulturze Kistów widoczne są wpływy wierzeń chrześcijańskich i przedchrześcijańskich. W Pankisi znajdują się nie tylko meczety, jest tam również cerkiew, a także „święte miejsca”, których rodowód jest przedchrześcijański. Mnie szczególnie zainteresowały dzieje chrześcijaństwa w wąwozie. W trakcie badań sformułowałam wniosek, że jedną z różnic pomiędzy Kistami a Czeczenami jest właśnie tradycja chrześcijańska. Została ona przejęta przez Kistów zarówno od gruzińskich sąsiadów, jak i pod wpływem administracji carskiej. Wciąż żywa jest też wśród nich pamięć o niektórych przedchrześcijańskich obyczajach, takich jak składanie ofiar w dni święte. Owe zwyczaje były, i z pewnością jeszcze są, popularne także wśród innych górali kaukaskich. Niektóre tradycje religijne, w szczególności nieislamskie, które przetrwały politykę ateizacji w okresie ZSRR, nie wytrzymały procesu islamizacji, jaki rozpoczął się po upadku Związku Radzieckiego.

Kistowie wydają się być obecnie na swoistym rozdrożu tożsamościowym. Z jednej strony od przynajmniej XIX w. tworzą odrębną, zamkniętą społeczność kistryńską, kultywując pamięć o przodkach-założycielach wsi pankiskich. Z drugiej strony mają silne poczucie związku z Czeczenią i tamtejszą kulturą, które wzmogły jeszcze wydarzenia ostatniego ćwierćwiecza – wzrost nastrojów nacjonalistycznych wśród Gruzinów oraz pobyt uchodźców czeczeńskich w Pankisi. Pytani o przynależność etniczną Kistowie często są gotowi zrównać swoją społeczność z etnosem czeczeńskim. W tym samym momencie jednak wskazują różnice pomiędzy kulturą swoją a Czeczenów, choć zazwyczaj



*Kistynki z bractwa sufickiego Kunta Hadži Kiszyjewa z Dusi,
fot. P. Prześlakiewicz-Rohozińska*

dodają, że nie są one znaczące. Faktem jest, że zachowują swoją nazwę, swoje tradycje (takie jak wesele, picie wina, które przejęli od Gruzinów) i jak do tej pory nie wysuwają roszczeń do przyłączenia Pankisi do Czeczenii. Orzekanie o ich tożsamości etnicznej czy narodowej jest więc kontrowersyjne i bardzo niepewne.

Niemniej ważne niż sprawy religii i przynależności etnicznej Kistów są przemiany, jakie zachodzą w sposobie ich życia i gospodarowania. Wraz z procesami globalizacyjnymi zmieniają się wyobrażenia o rodzinie, pracy, edukacji. Obyczaje rodzinne, do niedawna uświęcone tradycją kaukasko-islamską, muszą się teraz zmierzyć z aspiracjami młodego pokolenia, które często stoją w sprzeczności z oczekiwaniami ojca i matki. Odbywa się to zresztą nie tylko w sferze edukacji, małżeństw czy pracy zarobkowej, ale także religii – postrzeganej obecnie jako główny fundament „kistryńskości”. To właśnie młodzi są przede wszystkim zwolennikami nurtu fundamentalnego, to młodzi często opuszczają rodzinne wsie, aby szukać swojego miejsca w Tbilisi, wśród obcych etnicznie Gruzinów. Działania te często podejmowane są wbrew woli rodziców, z pewnością przyczyniają się też do zmian w wyobrażeniach o roli rodziny. Ewolucji podlegają też poglądy dotyczące roli kobiety.

Kistowie są grupą, która w ciekawy sposób próbuje wykorzystać potencjał Pankisi jako regionu turystycznego. Inicjatywa ta rozwija się we współpracy z Polakami (zaangażowana w projekt agroturystyki jest prowadząca laboratorium P. Prześlakiewicz-Rohozińska). Całe przedsięwzięcie jest na bardzo wczesnym etapie, już jednak można obserwować zmiany, jakie zachodzą pod jego wpływem w tej społeczności. Dawniej zamknięta, obecnie ma zostać wystawiona na wpływ całkowicie obcych jej kulturowo turystów z Europy.

Prowadzone w wąwozie pankiskim badania nie dały nam w wielu przypadkach jasnych odpowiedzi, często jedynie przybliżyły nas do nich albo zaledwie zasygnalizowały jakiś aspekt kistryńskiej kultury, wart dokładniejszego poznania. W zglobalizowanym świecie jesteśmy coraz bliżej Inných, co nie oznacza wcale, że coraz łatwiej jest nam zrozumieć się nawzajem. Podejmowanie takich prób jest nie tylko wielką przygodą, ale także bardzo wartościowym doświadczeniem. ■



Kistryńskie dzieci, fot. P. Prześlakiewicz-Rohozińska

Magdalena Wnuk jest studentką III roku etnologii w IEiAK UW. Współpraca: P. Prześlakiewicz-Rohozińska, A. Angerman, K. Czerwińska, A. Iskra, Ł. Kamieński, M. Krzynówek, J. Lutyk, A. Medyńska, O. Ożarenkowa, A. Piwowar, K. Wrzesińska.

Pisanki sercu miłe

Uniwersytet Warszawski zatrudnia naukowców, prowadzących badania właściwie w każdej dziedzinie. Pracują tu specjaliści od neuroinformatyki, biofizyki molekularnej i ekotoksykologii, znawcy klasycznej poezji perskiej, psychologii zachowań konsumenckich, czy historii myśli politycznej. Wielu z nich – choć to niełatwe – udaje się łączyć pracę naukową i dydaktyczną z realizacją innych pasji.

Zainteresowania wykładowców z UW są tak różnorodne jak dziedziny, którymi się zajmują – fotografują, malują, uprawiają górską wspinaczkę. W tym numerze rozpoczynamy cykl rozmów z naukowcami UW o ich pozanaukowych pasjach. Zaczynamy od rozmowy z prof. Ireną Stasiewicz-Jasiukową, znawcą historii nauki Oświecenia, w wolnym czasie kolekcjonującą pisanki. Temat nieprzypadkowy – w połowie kwietnia Wielkanoc, więc warto dowiedzieć się, że pisanki kojarzące się nam z typową polską tradycją świąteczną są równie charakterystyczne dla kultur Chin, Kenii czy Australii.

Justyna Jasiewicz-Hall: Od jak dawna kolekcjonuje pani pisanki?

Irena Stasiewicz-Jasiukowa: Kolekcjonuję je już od 37 lat. A zaczęło się przypadkowo i – chyba mogę użyć tego słowa – romantycznie. Pierwsze pisanki dostałam bowiem od mojego narzeczonego, a późniejszego męża. Z okazji Wielkanocy, zamiast bukietu fiołków, dostałam



Pisanka polska, fot. J. Jasiewicz-Hall

od niego dwie pisanki opolskie, barwione naturalnymi farbami z wyskrobanymi pięknymi wzorami. Niedługo potem połączyliśmy się i w zasadzie każdą wolną chwilę spędzaliśmy na podróżach po Polsce. Szczególnie dużo czasu spędziliśmy wędrując po Ziemi Suwalskiej i Augustowskiej. W czasie tych wycieczek poznawaliśmy najróżniejszych artystów ludowych posługujących się rozmaitymi technikami zdobienia pisanek.

J. J.-H.: O jakich technikach zdobienia pisanek możemy mówić?

I. S.-J.: Jest kilka podstawowych sposobów. Przede wszystkim istnieje technika zwana batikową lub woskową, która polega na tym, że przed barwieniem skorupki, robi się na niej wzory woskiem. Zupełnie inna jest technika rytownicza. Polega na tym, że na zabarwionej skorupce wyskrobuje się wzory. Czasami twórcy ludowi mówią, że robią pisaniki „drapane”. Kolejna to technika aplikacyjna, w której można wyróżnić metody tradycyjne, np. oklejanie wydmuszek wycinankami czy włóczką oraz metody zupełnie nowe, np. kolaż. Oczywiście są też pisanki malowane rozmaitymi farbami, nie tylko na wydmuszkach, ale też na jajkach ze szkła, drewna czy fajansu – jak w przypadku pisanek chińskich.

J. J.-H.: Chińskich? W Chinach też jest zazwyczaj tworzenia pisanek?

I. S.-J.: Oczywiście! I są absolutnie wyjątkowe nie tylko pod względem ornamentyki, ale i różnorodności. Najwięcej z nich jest malowanych. Są pisanki ozdabiane motywami kwiatowymi, scenami z codziennego życia Chinek, ale i z wymalowanymi pagodami, czółnami na rzece, krajobrazami. Są również pisanki puzderkowe, które poza tym że są piękną dekoracją, pełnią też rolę użytkowe.

J. J.-H.: Czy to oznacza, że pisanki są na całym świecie?

I. S.-J.: Jak najbardziej. Udało mi się wprowadzić do swojej kolekcji pisanki z Kenii, Bali, Chin, Grecji, Brazylii, Czech, Australii, Japonii, a nawet wykonaną na jaju pingwina przywiezionym z Antarktydy. Z całego świata.

J. J.-H.: Ile pisanek zebrała pani dotychczas?

I. S.-J.: Już ponad 1500. Prawie wszystkie przekazałam do Muzeum Pisanek w Ciechanowcu. W domu mam już tylko około stu ulubionych okazów.



Pisanka chińska, fot. zbiory prywatne

J. J.-H.: A czy jest wśród nich jakaś jedna szczególnie lubiana?

I. S.-J.: Tak, moja ulubiona pisanka jest zrobiona ze strusiego jaja. Dostałam ją w prezencie od wypromowanych przeze mnie doktorów i doktorantów. Jest to pisanka ozdobiona powycinanymi zdjęciami moich uczniów i moimi. Jest mi szczególnie bliska. ■



Pisanka zdobiona techniką aplikacyjną, fot. J. Jasiewicz-Hall

Prof. dr hab. Irena Stasiewicz-Jasiukowa jest historykiem nauki i kultury, specjalizuje się w historii nauki Oświecenia. Od początku swej kariery naukowej jest związana z UW oraz Polską Akademią Nauk.

Przegląd prasy **Studenckie Koło Naukowe Historyków**

■ **Komentując ocenianie polskich placówek naukowych przez pryzmat tzw. listy filadelfijskiej prof. Bohdan Jałowicki (EUROREG) napisał:**

(...) Nieporozumieniem metodologicznym jest ujednolicenie kryteriów oceny placówek działających w naukach ścisłych oraz w humanistycznych i społecznych, których przedstawiciele nie mają prawie szans na publikacje w periodykach z listy filadelfijskiej, bo jest ich na niej stosunkowo mało. Misją polskiej humanistyki i nauk społecznych jest przede wszystkim edukacja społeczeństwa polskiego, kształtowanie świadomości i postaw obywateli, wymiana informacji między krajowymi ośrodkami naukowymi, a dopiero w dalszej kolejności docieranie do publiczności w innych krajach. Dlatego w tym przypadku preferowane powinno być publikowanie w polskich czasopismach, które raczej nie mają szans dostać się na listę Reutera.

(Lista filadelfijska to nie wyrocznia, „Forum Akademickie”, styczeń 2009)

Odnosząc się do tego samego tematu prof. Maria Lewicka (Wydział Psychologii) napisała:

(...) Proponowane przez niektórych przedstawicieli naszego środowiska przewartościowanie obowiązującej aktualnie punktacji ministerialnej do nauk społecznych – zmniejszenie różnic między publikacjami polskimi i publikacjami w obiegu międzynarodowym – spowoduje, że nikomu nie będzie się chciało podejmować wysiłku publikowania w czasopiśmie anglojęzycznym (...). Zamiast tego nadal najbardziej atrakcyjną opcją będzie wysyłanie tekstów do lokalnych czasopism lub zbiorowych monografii. Nie ma to oczywiście nic wspólnego z jakąkolwiek misją nauk społecznych czy z krzewieniem kultury narodowej.

(...) Badania z dziedziny psychologii sprawiedliwości pokazują, że ludzie za sprawiedliwy uznają ten podział, na którym sami mogą najwięcej zyskać. (...) W dyskusji jaka przetacza się przez nasze wydziały, też funkcjonuje ta zasada – każdy chciałby dowartościować (...) te wyniki działań, w których sam uczestniczy, lub w których uczestniczy jego najbliższe otoczenie. Tylko że to oznacza samopowielanie się starych wzorów – dajemy w ten sposób jasne wskazówki naszym studentom i doktorantom, że cenimy przede wszystkim to, w czym sami jesteśmy najlepsi.

(Niebezpieczne poglądy, „Forum Akademickie”, styczeń 2009) ■

PAWEŁ TYSZKA

■ W grudniu 2008 r. uroczystie obchodzono jubileusz 90-lecia istnienia Studenckiego Koła Naukowego Historyków Uniwersytetu Warszawskiego. Jego początki sięgają roku 1916, kiedy to 26 lutego powołano do życia na odrodzonym Uniwersytecie Warszawskim, przy Seminarium Historycznym, Koło Historyków Studentów. Pierwszym jego prezesem został Stefan Pomarański, oficer I Brygady.

Badanie międzywojennej przeszłości koła nastrocza wiele trudności z powodu braku źródeł. W czasie wojennej pożogi spłonęło całe archiwum KHS wraz z pokaźną studencką biblioteką. Szczęśliwie zachował się wydany w 1936 r. *Rocznik Jubileuszowy XX-lecia Koła Historyków Studentów Uniwersytetu im. J. Piłsudskiego w Warszawie, 1916–1936*. Bezcennym źródłem do odtworzenia przedwojennej historii KHS są też fragmenty książki Tadeusza Manteuffla pt.: *Uniwersytet Warszawski w latach 1915/16–1934/35* oraz wyniki ankiety przeprowadzonej na przełomie 1965 i 1966 r. wśród byłych działaczy koła przez ówczesną prezes SKNH a obecną dyrektorkę Instytutu Historycznego prof. Marię Koczerską. Z powyższych materiałów wynika, że przed wojną najważniejszą formą działalności koła były regularne spotkania, w trakcie których dyskutowano nad nowymi pozycjami wydawniczymi oraz prezentowano wyniki prowadzonych badań. Dzięki ofiarności członków koła, zarząd stworzył bibliotekę, ze zbiorów której mogli korzystać wszyscy studenci instytutu. Poszczególne sekcje prowadziły bardzo aktywną działalność: zbierano materiały do kontynuacji *Bibliografii* Finkla, przygotowywano do druku księgi *Metryki Mazowieckiej*, wydano także broszurę informacyjną dla studentów I roku – *Studium Historyczne na Uniwersytecie*. Planowano również stworzyć indeks do *Przeglądu Historycznego*. W 1924 r. powołano komisję wydawniczą, która publikowała teksty źródłowe do ćwiczeń proseminaryjnych. W zimie organizowano bale historyków, wiosną zaś objazdy naukowe. Wśród przedwojennych prezesów koła należy wymienić późniejszych profesorów: Stanisława Arnolda, Tadeusza Manteuffla, Janusza Pajewskiego, czy też Mieczysława Żywczyńskiego.

Po II wojnie światowej postanowiono reaktywować KHS. Niestety pod koniec 1947 r. rozpoczął się proces centralizacji szkolnictwa wyższego. Władze państwowe dążyły do uzyskania kontroli nad wszelką działalnością studentów, doprowadzając do ograniczenia ich aktywności. Koło działało jednak nadal, dzięki uporowi studentów i ówczesnego dyrektora IH prof. Tadeusza Manteuffla. Organizowano spotkania – dysputy, wycieczki historyczne, połączone ze zwiedzaniem zabytków. Ważną rolę, szczególnie po zniszczeniach wojennych, odgrywała biblioteka członków KHS, licząca ok. 690 woluminów. W lutym 1948 r. zorganizowano bal nawiązujący do przedwojennych tradycji. Niestety w latach 1948–51 działalność KHS w przedwojennym kształcie zaczęła zamierać.

Dopiero w roku akademickim 1956/1957 możliwa stała się reaktywacja koła pod nazwą Studenckie Koło Naukowe Historyków Uniwersytetu Warszawskiego. Szczególną rolę przy odnowieniu jego działalności odegrali ówcześni studenci II roku Jan Milewski oraz Jerzy Braun, przewodniczący Rady Wydziału ZSP. Dzięki pomocy wówczas jeszcze dr. Henryka Samsonowicza i mgr. Janusza Berghausena zwołano zebranie studentów, z udziałem dr. Izy Biezuńskiej-Małowist i prof. Aleksandra Gieysztora, w trakcie którego powołano powtórnie do życia koło, dokonano wyboru władz i ustalono zakres działań. Działo się to w październiku 1956 r., a zatem w okresie, kiedy na skutek zmian politycznych można było pozwolić sobie na dyskusję, wymianę myśli, tworzenie nowych form aktywności społecznej, w tym również studenckiej. Działalność reaktywowanego



W prawym górnym rogu budynek Instytutu Historycznego, poniżej wnętrza gmachu, 1882 r., APW

SKNH ograniczyła się wówczas głównie do dyskusji nad zagadnieniami związanymi z metodologią historii. Chętnie prowadzono też dysputy na temat nowości wydawniczych, często zapraszając na spotkania autorów recenzowanych książek. Wiosną 1957 r. członkowie koła zorganizowali pierwszy objazd naukowy do Góry Kalwarii.

Zarząd wybrany na rok akademicki 1965/1966, decyzją Komitetu Koordynacyjnego Studenckich Kół Naukowych Humanistycznych, został zobowiązany do spisania dotychczasowych dziejów koła. Musiał się on odwołać do wspomnień przedwojennych działaczy KHS, którzy zgodzili się wypełnić ankietę przygotowaną przez Marię Koczerską. Z zachowanych do naszych czasów odpowiedzi wynika, że w okresie 1958-60 koło liczyło około 20-30 członków, w latach 1960-61 ich liczba spadła do około 15-20 osób, ponownie wzrosła do około 80-90 w połowie lat 60. W 1962 r. uchwalono statut SKNH, wprowadzono legitymacje ewidencyjne oraz składki. W 1963 r. utworzono tzw. sekcję powązkowską, której zadaniem było opracowywanie historii cmentarza powązkowskiego i inwentaryzowanie nagrobków w najnowszej jego części.

Wraz z upływem czasu poszerzało się pole działalności SKNH UW. Organizowano panele dyskusyjne, wykłady, spotkania z ludźmi nauki, pracę w sekcjach, ogólnopolskie zjazdy i seminaria naukowe, pokazy filmów dokumentalnych, spacer po Warszawie, wyjazdy. W 1965 r. ogłoszono konkurs na najlepszą pracę proseminaryjną. Wydawano również studenckie pisma (jak choćby *Ogólnopolski Studencki Przegląd Historyczny*), czego jednak szybko zakazały władze ZSP. Wiele z tych form działalności koła, często jeszcze przedwojennych, praktykuje się do dziś.

Białą plamą w dziejach koła są lata 70. W archiwum SKNH nie zachowały się żadne dokumenty z tego okresu, z wyjątkiem ofiarowanej przez dr hab. Małgorzatę Karpińską ulotki o organizowanych w marcu 1975 r. *Dniach historyka*. W latach 80. narodził się pomysł integracyjnych obozów zerowych dla nowo przyjmowanych studentów, które miały służyć nie tylko integracji, ale także celom naukowym. Od początku lat 80. członkowie koła coraz więcej uwagi poświęcali też organizowaniu objazdów naukowych, nawiązując współpracę z różnymi ośrodkami badawczymi w kraju i za granicą. Zgromadzony przy okazji objazdów materiał fotograficzny wzbogacał archiwum IH. Na szczególną uwagę zasługuje zorganizowana w 1997 r., we współpracy ze studentami Uniwersytetu Brzeskiego, wyprawa *Brzegiem Morza Czarnego*. Trudna sytuacja materialna brzeskiego Instytutu Historycznego, którego nie stać było na zakup najnowszych pozycji naukowych sprawiła, że sekcja wschód SKNH UW zorganizowała zbórkę książek dla tamtejszej biblioteki. W ciągu kilku lat udało się przekazać kilkaset tytułów.

Od 1983 r. SKNH wydaje swój periodyk naukowy – *Tekę Historyka*, w której publikowane są referaty z konferencji naukowych, najlepsze prace z konkursu prac rocznych, recenzje książek, sprawozdania z objazdów. Wielu pracowników naukowych Instytutu Historycznego właśnie w *Tecie* publikowało swoje pierwsze artykuły.

Od momentu reaktywacji w 1956 r. SKNH działała nieprzerwanie do dnia dzisiejszego. Zdarzały się okresy zastoju, spowodowane wydarzeniami politycznymi, problemami ekonomicznymi, czy też brakiem zaangażowania studentów. Jeśli jednak popatrzymy na biogramy pracowników IH to większość z nich w trakcie swoich studiów, bądź później, była w jakiś sposób zaangażowana w prace koła. Wśród powojennych prezesów i wiceprezesów było wielu byłych i obecnych pracowników instytutu, takich jak Jerzy Skowronek, Jan Tyszkiewicz, Michał Tymowski, Jacek Banaszkiewicz, Sławomir Gawlas, Urszula Augustyniak, Wojciech Tygielski, Marek Deszczyński. Do grona byłych prezesów zaliczają się także Bronisław Komorowski, Andrzej Friszke oraz Jacek Sasin.

Opiekunami naukowymi SKNH byli nimi m.in. profesoria: Kazimierz Tymieniecki, Marcei Handelsman, po wojnie zaś Henryk Samsonowicz, Barbara Grochulska, Antoni Mączak, Andrzej Garlicki, Tadeusz Cegielski oraz dr Igor Kąkolewski, dr hab. Jarosław Czuby, dr Paweł Żmudzki, czy dr hab. Stefan Ciara.

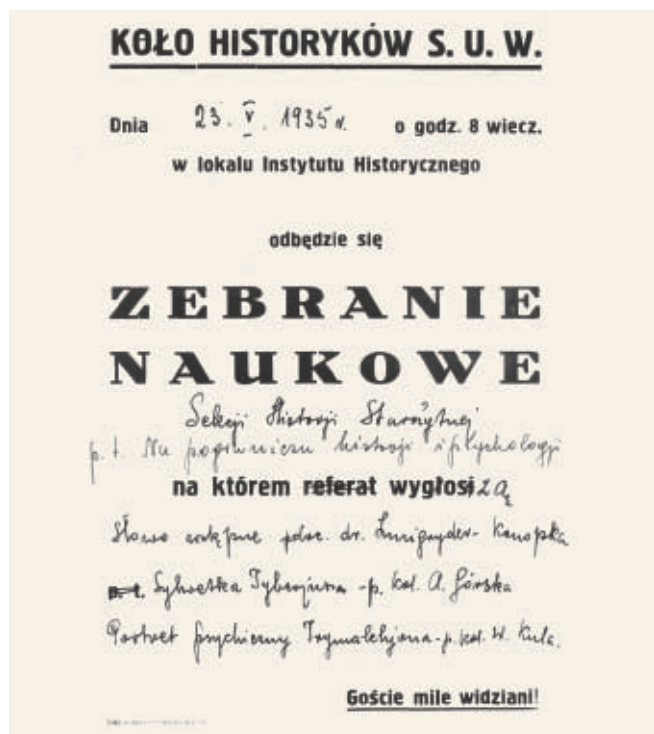
Obecnie Studenckie Koło Naukowe Historyków UW liczy około 130 członków, działających w szesnastu sekcjach. ■

Paweł Tysza jest studentem V roku historii, był prezesem SKNH w roku akademickim 2007/2008

SKNH dawniej o parę pokoleń

MARCIN KULA

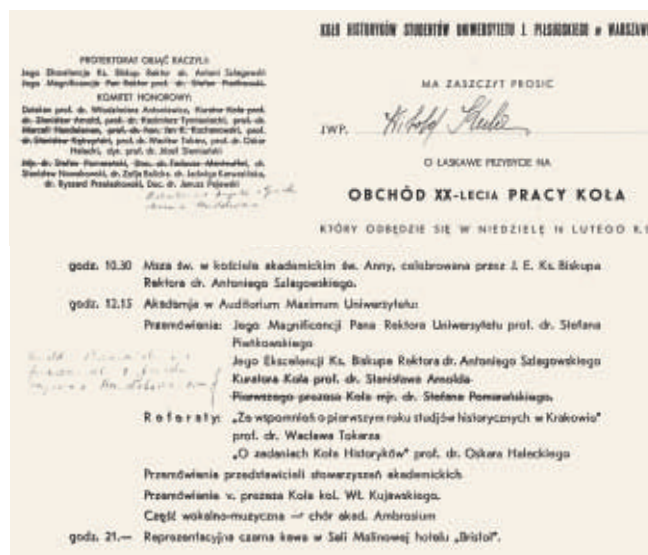
■ Prawie nie pamiętam koła z czasu własnych studiów – w odróżnieniu od licznych kolegów, którzy wspominają je jako istotny punkt na swojej drodze zawodowej. Raz, zapewne przez godną ubolewania słabość woli, dałem się wybrać do zarządu. Dosłownie nic w nim nie robiłem. Od tego czasu co pewien czas pojawia się wszakże domniemanie, że byłem działaczem koła. By choć trochę stanąć na poziomie oczekiwania, postanowiłem zatem przyczynić się przynajmniej do uczczenia 90. rocznicy SKNH. W spuściznie mego Ojca, Witolda Kuli, który swego czasu był studentem historii na naszym uniwersytecie, znalazłem więc parę pamiątek związanych z kołem i poniżej je publikuję.



Komunikat o zebraniu SHSK

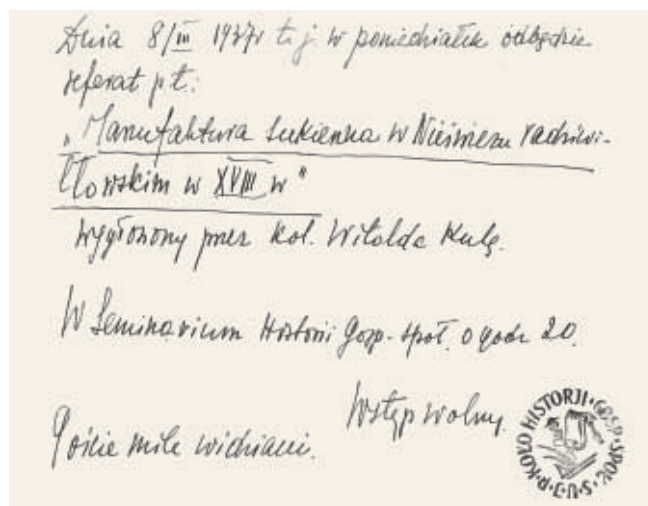
Pierwszy dokument to komunikat o zebraniu Sekcji Historii Starożytnej Koła 23 maja 1935 r., podczas którego mieli występować docent Zdzisław Zmigryder-Konopka oraz dwoje studentów, wśród nich Ojciec. Nawiasem mówiąc, tekst „Portret psychiczny Trymalchiona”, który Ojciec miał referować, zachował się.

Drugi dokument to zaproszenie na obchody dwudziestolecia koła, zaplanowane na 16 lutego 1936 r. Na tym druku, wśród protektorów oraz członków Komitetu Honorowego, Ojciec przekreślił kilka nazwisk i obok napisał: „Przekreśleni nie przyszli z powodu obrażenia Handelsmana”. Podobnie w programie obchodów Ojciec przekreślił dwa nazwiska i obok dopisał: „Arnold i Pomarański nie przemawiali z powodu zajścia z Handelsmanem”. Skreślenia i dopiski zostały zrobione słabym ołówkiem, stąd w reprodukcji są słabo widoczne. Określenia „obrażenie Handelsmana”



Zaproszenie na obchody XX-lecia koła

oraz „zajście z Handelsmanem” odnoszą się najprawdopodobniej do znieważenia i poturbowania prof. Handelsmana wieczorem 14 marca 1934 r. na dziedzińcu UW przez grupę młodych ludzi, z których część posiadała czapki Bratniej Pomocy. Epizod był fragmentem ówczesnych rozrób antysemitycznych na uczelni; działania napastników spotkały się z reakcją głębokiego potępienia ze strony władz uniwersyteckich oraz szerokich środowisk studenckich (por. M. Natkowska, *Numerus clausus*, getto ławkowe, *numerus nullus*, „paragraf aryjski”. Antysemityzm na Uniwersytecie Warszawskim. 1931–1939, Warszawa 1999).



Zawiadomienie o referacie W. Kuli

Trzeci dokument pochodzi z 1937 r. Jest to ręcznie pisane zawiadomienie koła o referacie Ojca.

Publikując powyższe materiały, korzystam z okazji, by złożyć Kołu najlepsze życzenia na nieodległe już stulecie. W końcu, pięćdziesiąt lat wstecz, czy 10 lat do przodu, to naprawdę drobiazg w perspektywie historii.

Prof. dr hab. Marcin Kula jest pracownikiem Instytutu Historycznego UW.

Poczet rektorów UW

Józef Brudziński – pierwszy rektor odrodzonej uczelni

ROBERT GAWKOWSKI, MUZEUM UW

■ W sierpniu 1915 r. do Warszawy wkroczyli Niemcy, a trzy miesiące później, uruchomiono działalność polskiego Uniwersytetu Warszawskiego w Warszawie. To podkreślenie miejsca działania wcale nie jest bezsensowne, bo w tym czasie w dalekim Rostowie nad Donem istniał inny Uniwersytet Warszawski – ten rosyjski. Dwa Uniwersytety Warszawskie działały do 1917 r. Oczywiście, na ziemiach polskich nikt nie zwracał uwagi na los ewakuowanej rosyjskiej uczelni i na poczynania jej rosyjskiego rektora – Siergieja Iwanowicza Wiechowa. W Warszawie znany był tylko jeden rektor – Józef Brudziński.

Józef Brudziński urodził się w okolicach Płocka w rodzinie ziemiańskiej w 1874 r. Po ukończeniu warszawskiego gimnazjum w 1891 r., wstąpił na wydział medyczny Uniwersytetu Dorpackiego. W 1894 r. przeniósł się do Moskwy i tu ostatecznie zdobył wykształcenie medyczne. Podczas moskiewskich studiów dał się poznać jako społecznik i działacz Koła Polskiego.

Po powrocie do „Kraju Priwiślańskiego” pracował w klinikach Warszawy i Łodzi, zdobywając sobie ogromne uznanie pacjentów. W 1905 r. uzyskał doktorat na Uniwersytecie Jagiellońskim, a pięć lat później został członkiem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Jego naukowe zainteresowania dotyczyły chorób dziecięcych i w tej dziedzinie dokonał kilku odkryć. Badania Brudzińskiego stały się znane i komentowane na uczelniach francuskich



Rektor Józef Brudziński, fotografia z 1916 r., Muzeum UW

i angielskich. Pewien zespół objawów przy zapaleniu opon mózgowo-rdzeniowych u dzieci, zdiagnozowany przez naszego bohatera, do dziś nazywany jest „objawem Brudzińskiego”.

Zasługi Brudzińskiego dla polskiej pediatrii są trudne do przecenienia, ale równie ważna była jego działalność polityczna. W 1915 r. uczestniczył w pertraktacjach z Niemcami i Austrią, opowiadając się za niezależnością Królestwa Polskiego. W tym samym roku, w listopadzie, został mianowany przez gubernatora Beselera, rektorem odrodzonego, polskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Rok później wybrano go prezesem Rady Miejskiej Warszawy i wówczas to Brudziński stał się jedną z centralnych postaci polskiej sceny politycznej. Odgrywał główną rolę, podczas uroczystości ogłoszenia Aktu 5 Listopada. Był świetnym mówcą i stał się bożyszczem młodzieży akademickiej. W sławnym pochodzie z okazji 3 Maja w 1916 r. kroczył

na czele ogromnej rzeszy akademików Warszawy. Tak został zapamiętany przez ówczesnego świadka wydarzeń: „Gdy rektor otoczony zastępem młodzieży, ze sztandarem dawnej polskiej uczelni, przez się odnalezionym, kroczył przez ulice miasta w pochodzie uroczystym, zdawało się, że to hetman starodawny na czele wojsk narodowych”.

Czasy były to niespokojne i zmienne, a wraz z porażkami zaborców rosła nadzieja na pełną niepodległość. Nastrój młodzieży radykalizował się szybko i po strajku studenckim w maju 1917 r. działalność Uniwersytetu Warszawskiego zawieszono. Brudziński – dotychczasowy idol studentów, teraz stał się obiektem krytyki, za zbyt ugodową postawę. Ciężko to przeżył. Uniwersytet wkrótce znów uruchomiono, ale Brudziński nie chciał być już rektorem. Podupadł na zdrowiu.

Niepodległości Polski nie dożył. Zmarł 18 grudnia 1917 r. Na jego pogrzebie zjawily się tłumy. Wzruszony przedstawiciel studentów Jan Lechoń (późniejszy Skamandryta), zabrał głos, krótko podsumowując życie zmarłego rektora: „Chory byłeś na ojczyznę”. Po śmierci Brudzińskiego jego imieniem nazwano ulicę w Łodzi i jedną z sal Pałacu Kazimierzowskiego. Gipsowa płaskorzeźba pierwszego rektora odrodzonego Uniwersytetu Warszawskiego (według projektu Czesława Makowskiego) do dziś zdobi tę salę. ■



Umieszczenie Orla Białego nad Bramą Główną UW, 7 października 1916 r., Muzeum UW

Tekst o Józefie Brudzińskim jest piętnastym z serii artykułów, prezentujących sylwetki rektorów Uniwersytetu Warszawskiego. W następnym numerze dr Robert Gawkowski przybliży postać Antoniego Kostaneckiego.

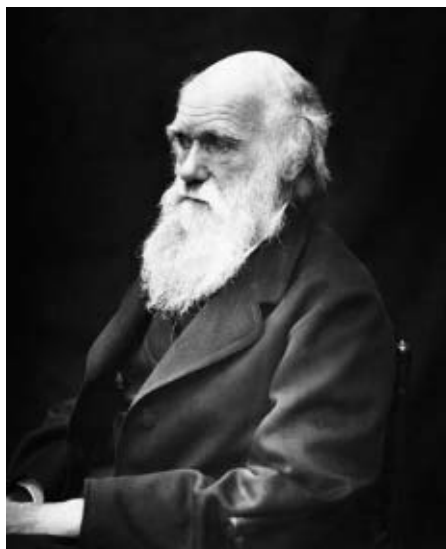
Résumé

What does Darwin have to do with the University of Warsaw?

Jerzy Dzik

■ On the initiative of the Faculty of Biology, 2009 has been declared – by means of a resolution passed by the Senate of the University – the Year of Charles Darwin at the University of Warsaw, as it marks the 200th anniversary of Darwins birthday and the 150th anniversary of the release of the printed version of „The Origin of Species.”

The modern science does not exist without the theory of evolution, according to which evolutionary changes in the living world result from the selection of organisms with the most favorable hereditary properties, which the natural environment makes from among all living beings. We know today that inheritance of features takes place thanks to protein-catalyzed multiplication of nucleic acids contained in the sex cells. The amino acid sequence by which protein properties are determined is encrypted in a nucleic acid particle by means of a tertial genetic code. Accidental errors made during sequence copying are the source of inherited diversity, which is subject to selection. Such an understanding of the evolution phenomenon mechanism whose idea was presented by Charles Darwin 150 years ago is one of the more important tools used for perceiving the world – not only in biology, but also medicine, sociology, psychology, or ever more expanding areas of knowledge about the human being and his culture. The Darwinian approach allowed us to grasp the previously mysterious nature of organisms immunity, and there is hope that one day it will also help us understand the mystery of human brain functioning principles. It is so, because the mechanism identified by Darwin may be applied also outside the sphere of genes and proteins, or even outside the living world. The only prerequisite is that selection of diversity is made with regard to strictly inherited features. Such situations are easy to identify in the transformations taking place in numerous aspects of the human civilization. Free market or technical advances are particularly spectacular instances of the Darwinian mechanism.



*Charles Darwin, 1869,
source: Harvard University*

Fish, markets and global flows *Jerzy S. Wasilewski*

Developments of the past months – the worldwide financial crisis and the resulting economic depression, along with their unavoidable social consequences – have once again made us aware how little exaggeration there is in the claims of globalization researchers stating that what happened in New York yesterday will impact the situation of Nowa Huta today and will influence the life in New Guinea tomorrow. Quite naturally, such dangerous situations make us reflect on the proportion between positive and negative aspects of this dominating trend of the contemporary era. Representatives of social and cultural anthropology, as well as of other social sciences, debate the mechanisms and results of global flows that cause both homogenization and diversification, trying to come up with the summary of profits and losses the process brings about to local cultures.

At first glance Tsukiji – the Tokyo fish market – seems to be an enclave isolated from the rest of the world. An anthropologist looking at that market becomes aware that he is dealing with a needles eye, through which the worlds globalization stream is flowing. Tsukiji – more than a product of the Japanese tradition – is a result of an administrative, controlled distribution project that is based on European solutions. The above applies also to the architecture of its buildings and to the very idea of bidding. At the same time, the market determines prices for the worlds fish markets. ■

Flash

■ On 16 February professor Danuta Stasik received, from Pratibha Devisingh Patil, the president of India, the Doctor George Grieson award for outstanding achievements in promoting the Hindi language. The award was established by the Central Hindi Institute (Kendriya Hindi Sansthan) in 1994. In 1995 it was presented to professor Maria Krzysztof Byrski – a tutor of this years winner. The university professors are the only Polish scientists recognized with this award, and also the only ones from this part of Europe who have been awarded on numerous occasions. Professor Stasik was previously recognized, inter alia, by Polish-Indian Cultural Association, the 6th World Hindi Congress in London, and the 7th World Hindi Congress in Surinam.

„National Geographic TRAVELER” and ”National Geographic Polska” have presented this years „TRAVELER” awards. In the „scientific discovery of the year” category, the award was granted to scientists from the Faculty of Biology of the University of Warsaw - professor Jerzy Dzik and Grzegorz Niedźwiedzki, MSc, who discovered, in May 2006, along with Tomasz Sulej, PhD, of the Polish Academy of Sciences, Polands first skeleton of a predatory dinosaur.

At the end of last year the University of Warsaw hosted Shirin Ebadi, 2003 Nobel peace prize winner. The Iranian lawyer took part in the opening of the „International Conference of Oriental Studies. 55 years of the Committee of Oriental Studies of the Polish Academy of Sciences (1952-2007)”, organized by the Faculty of Oriental Studies of the University of Warsaw and the Committee of Oriental Studies of the Polish Academy of Sciences. The Nobel prize winner praised the achievements that the Universitys Iranian Department has in conducting research on, as well as in teaching the Persian language and culture. She also admitted that this is one of the best oriental studies centers she has visited during her numerous travels.

On March 2nd the annual meeting of Oriental Studies Faculty first year students and representatives of Asian and African diplomatic missions took place. The meeting was attended by representatives of embassies of more than a dozen countries, including Japan, Indonesia, Angola or Sri Lanka. The diplomats talked about the relations that their countries have with Poland, and about educational and scientific cooperation in which the University of Warsaw is involved as well. ■

STEPHAN NAPIÓRKOWSKI

3 marca na Powązkach pożegnaliśmy śp. Stephana Napiórkowskiego, studenta UW, który odszedł nagle 22 lutego. Tragiczna śmierć w Tatrach pogrążyła w smutku wszystkich, którzy znali dziesiętnastolatka. Studia w Instytucie Germanistyki rozpoczął w roku 2007, gdzie dał się poznać jako człowiek ambitny, obdarzony wysoką kulturą osobistą. Dążenie do jasno wytyczonych celów zaprowadziło go na kolejny kierunek studiów. W 2008 r. został przyjęty na Wydział Prawa i Administracji. Studenci i pracownicy obu wydziałów przyjęli wiadomość o jego śmierci z głębokim żalem. Na stronie internetowej Samorządu Studentów WPiA czytamy: „Pamięć o Nim na zawsze pozostanie w naszych sercach”. Natomiast studenci IG apelowali, by jak najliczniej spotkać się na mszy w intencji zmarłego. Kościół Matki Boskiej Anielskiej w Warszawie wypełniło liczne grono niepokorzonych z losem bliskich oraz znajomych Stephana. Jego przyjaciele umieścili ponadto wspomnienie w „Życiu Warszawy”, skąd dowiadujemy się, że ten niezwykle człowiek nie tylko sam żył pięknie, lecz także zarażał innych optymizmem i radością życia. Jedną z jego pasji była piłka nożna. Reprezentował barwy klubu PKS Radość. Strona klubu podaje: „Na boisku był typem wojownika, nigdy nie odpuszczał. Taki zostanie na zawsze w naszej pamięci.” Podczas jazdy na nartach stracił życie młody sportowiec. W szczerym i głębokim żalu przeżywamy ziemskie rozstanie z serdecznym Przyjacielem.



Przyjaciele z Uniwersytetu Warszawskiego

27 stycznia 2009 r.

URSZULA SZERSZENIEWSKA

– pracownik Zakładu Ekologii Wydziału Biologii

6 lutego 2009 r.

prof. dr hab. JERZY GRONKOWSKI

– wieloletni kierownik Zakładu Badań Strukturalnych Instytutu Fizyki Doświadczalnej, specjalista w dziedzinie zastosowań promieniowania rentgenowskiego do badań struktury kryształów, znakomity naukowiec i pedagog

6 lutego 2009 r.

ŁUKASZ JARCZEWSKI

– student III roku japonistyki na Wydziale Orientalistycznym

27 lutego 2009 r.

prof. dr hab. JAN KRZYSZTOF WINNICKI

– długoletni kierownik Zakładu Papirologii Instytutu Archeologii, wybitny egiptolog i papirolog, wieloletni konsultant misji restauracyjnej świątyni królowej Hatszepsut w Deir el-Bahari, znawca języka koptyjskiego i pisma demotycznego, wychowawca wielu egiptologów

28 lutego 2009 r.

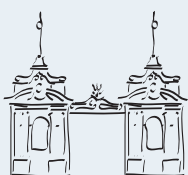
prof. dr hab. EUGENIUSZ PIONTEK

– jeden z założycieli Instytutu Prawa Międzynarodowego WPiA, jego późniejszy dyrektor oraz Przewodniczący Rady Naukowej, specjalista w zakresie prawa Unii Europejskiej, prawa handlu międzynarodowego oraz prawa konkurencji, znakomity badacz i nauczyciel akademicki

4 marca 2009 r.

BARBARA OSIŃSKA

– długoletni pracownik Kwestury Uniwersytetu Warszawskiego



**UNIWERSYTET
WARSZAWSKI**

Na okładce: Kobieta Mursi,
fot. M. Ząbek

Redaguje:

Biuro Prasowe Uniwersytetu Warszawskiego (Justyna Jasiewicz-Hall, Anna Korzekwa, Katarzyna Łukaszewska – redaktor naczelny)

Adres redakcji:

Krakowskie Przedmieście 26/28
00-927 Warszawa
tel. (+48 22) 55 20 656, 55 20 740
fax (+48 22) 55 24 066
e-mail: biuro.prasowe@uw.edu.pl

Wydawca:

Wydawnictwa UW
Nowy Świat 4, 00-497 Warszawa

Projekt okładki:

Jakub Rakusa-Suszczewski

Skład i łamanie:

Logoscript

Druk:

Pabianickie Zakłady Graficzne S.A.

Nakład:

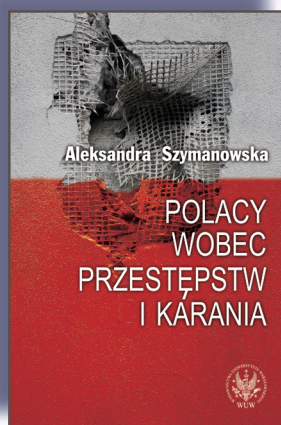
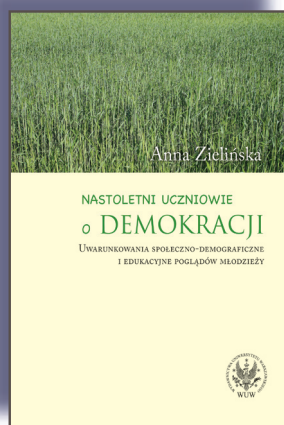
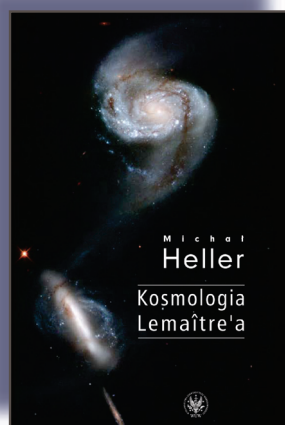
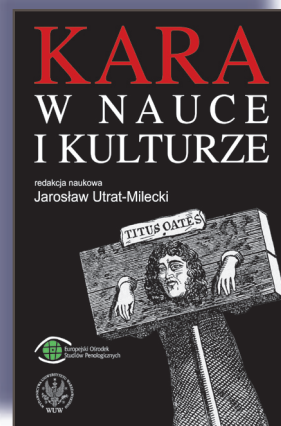
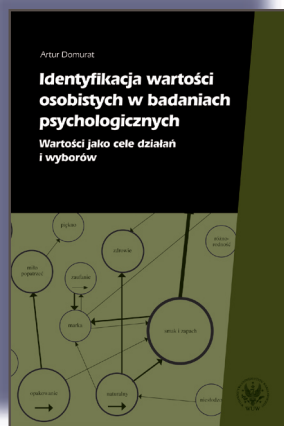
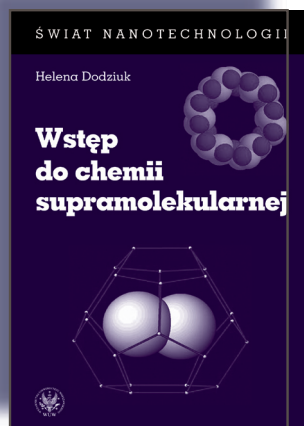
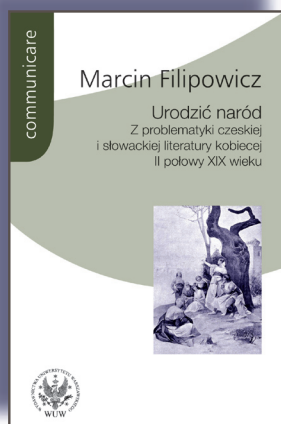
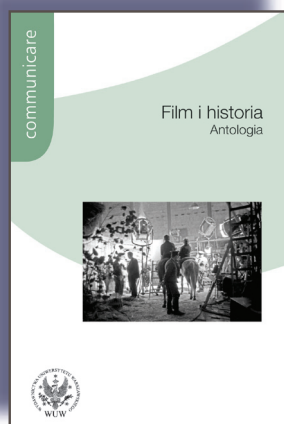
5 000 egz.

Stale współpracują:

dr Robert Gawkowski, dr Hubert Kowalski,
prof. Marcin Kula, dr Łukasz Niesiołowski-Spano,
prof. Wojciech Tygielski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania, dokonywania skrótów oraz odmowy publikacji nadesłanych materiałów.

Spośród najnowszych
publikacji proponujemy:





Sprzedawczyni Kaziukowych palm, Wilno, fot. L. Mróz